AS



Nr. 14.

4 KWIETNIA 1936 R.
CENA 40 GROSZY.

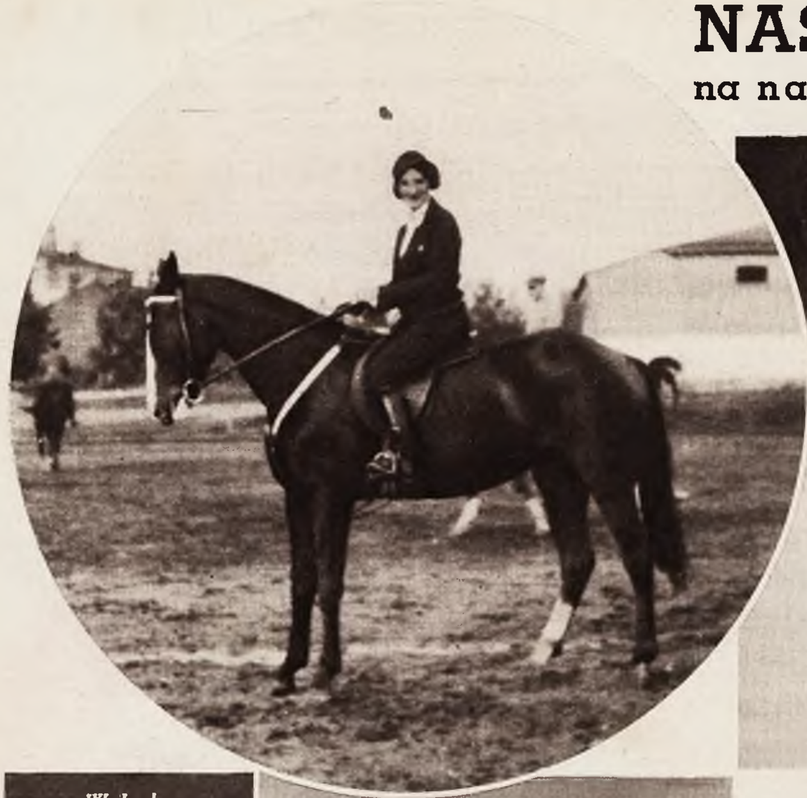
◆

WSPOMNIENIA...

Norma Shearer

gwiazda wytwórni M. G. M.

NASZ NOWY KONKURS
na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki



W kole: Majorowa Borzysławska na klaczy „Syrena".



P. J. M. i bernardyn „Barry" — Zakopane.

Kupon konkursowy na stronie 30-tej



„Polska krew" — Bielsko.



Od prawej: Pp. Leszczyńska i Schindlerówna Lwów.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CE... NUMERU GROSZY 40
...RTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CE... ny 275 mm. — Szerokość kolumny 20... rokość łamu 63 mm. Cała strona... 0 gr. Za ogłoszenie kolorowe do... zasadniczego. Żadnych zastrz... nie przyjmujemy

NUMER ŚWIĄTECZNY!
40 stron druku dwukolorowego, bogata treść! ciekawe ilustracje! ukaże się w sprzedaży 10 kwietnia.

Numer 14 **Niedziela 5 kwietnia 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 14-GO:



Nigdy dwoistość kultury współczesnej Japonji bardziej nie uderza Europejczyka, jak podczas religijnych i państwowych świąt, których Japończycy posiadają znaczną ilość. Ci, po europejsku ubrani ludzie Wschodu, bardzo często zaopatrzeni w amerykańskie okulary, przedzierzgają się w mig w starodawnych samurajów i dajmjów. Oto widzimy na naszem zdjęciu ciekawą dla mentalności japońskiej scenę składania hołdu zmarłemu ministrowi oświaty, Genji Matsuda, przez rodzinę i najbliższych. Hołd ten polega na zapalaniu świeczek, a raczej trociczek i odmawianiu pewnych modlitw. W ważnych chwilach życia tradycjonalistyczny duch japoński odżywa z całą siłą.

Carrara
wybrzeże białych
MARMURÓW



Ravaccione, ślicznie położone miasteczko górnicze.

Morze! Niekończąca się przestrzeń żywej, rozkołysanej masy seledynu zwierająca się z rozbielonym błękitem nieba z jednej strony i z drugiej z łukowatą linją wybrzeża „mare Ligure“. Spiętrzone i szumiące fale podbiegają wciąż w tym samym ruchu ku brzegowi lądu, by rozpłaszczyć się wreszcie na piasku kilometrowych plaż. O kilka kroków dalej od tego widowiska następuje gra wszystkich kolorów, pas niezliczonych kabin, kraciastych parasoli, łodzi, żaglówek, odsapujących na piachu po walce z falami, pas „stabilimenti di bagni“ z szatniami i cukierniami, rozciągający się imponującym łukiem od Livorno aż po Mentonę. Później linja promenad wstęga bez końca, usiana migotliwym ornamentem fontann i palm, krzewów magnolji i róż, rozśpiewana świstem aut i tramwajów, zamknięta wałem hoteli, pensjonatów, sklepów, cichych, arystokratycznych wil. A przecież to nie wszystko! Za kordonem reprezentacyjnych budowli znowu niekończący się pas lasu: „la pineta“. Kopulaste drzewa o gęstych szpilkowych koronach dają chłód rześki i żywiczny zapach. Wśród drzew i alej bieleją mniejsze domostwa letników, rezydencje średniej klasy, korty, małe cafeterje. Pineta nie jest szeroka. Za nią łany kukurydzy, pola uprawne, wieś. Tak kończy się „poziom morza“ i zwrok nasz opiera się na rozległej, bohaterskiej ścianie pejzażu alpejskiego. Góry, alpy apuańskie!

Cóż więcej podziwiać? Czy seledyn morza, czy niebieszczące granie masywu alpejskiego? Chyba jedno w połączeniu z drugiem, gdyż właśnie ten kontrast szczerbatej sylwety Alp i tafli morza jest najbardziej frapującym obrazem dla przybysza.

Takimi widokami syci się każdy, kto zdąża w kraj włoskich kopalń marmurowych. Na odcinku między Spezią a Pizą usadowiły się gęsto miasta największego na świecie przemysłu marmurowego. Zdążając od morza coraz bardziej wgłąb lądu, względnie ku wzniesieniom, można widzieć wszystkie fazy wielkiego przemysłu kopalnianego. Ku morzu wysunięte są nieprzeliczone magazyny i warsztaty, gromadzące materjał eksportu. Prawie i każde z miast, jak Carrara, Avenza, Massa, Pietrasanta i inne ma dwie dzielnice, nie łączące się bezpośrednio: jedną portową z dodatkową nazwą „maritima“ i drugą, rozbudowaną tuż u stóp wysokich zboczy, tj. dzielnicą właściwą.

Carrara zajmuje dominujące miejsce w strefie przemysłu marmurowego. Tu koncentrują się największe firmy włoskie i obce, stąd wywodzą swą prastarą historję kopalnie, szczególnie śnieżno-białego marmuru, najcelniejszego ze wszystkich. Prawie każdy turysta czy kuracjusz z pobliskich plaż Viareggio wpada do Carrary, by się przyjrzeć jej łomom. Jeśli pojedzie autem do gładkiej, asfaltowej szosie, rozwijać się będzie przed nim najcudniejszy kalejdoskop obrazów morza, plaż i Alp. Jeśli wybierze pociąg wcześnie rano i nie w dzień świąteczny, niech nie udaje komercjalisty! Słowo „marmi“ działa magicznie na tej przestrzeni. Zarzucony zostanie pytaniami i próbkami ze strony pasażerów, którzy reprezentują świat interesów marmurowych. Istna Klondyke! Może się zdarzyć że przez dwa dni nie pozbędzie się ich towarzystwa, że będą go internować w hotelach, restauracjach, dworcach.

W ub. roku ściągnęła Carrara dużo ludzi z okazji wielkiej wystawy marmurowej, urządzonej w tutejszej Akademji Sztuk Pięknych. Instytucja ta, założona w 1741 r. przez księżniczkę Massy Marję Teresę, kształci głównie rzeźbiarzy i kopistów w marmurach. — Wystawa dała wspaniały przegląd wszelkich gatunków marmuru niewiarygodnie pięknych w kolorycie i rysunku żył, otworzyła pracownie obróbki,

Na prawo: Ładowanie marmuru kararyjskiego na okręty



Poniżej: Liczne kolejki odwożą marmur kararyjski z łomów do dalszej przeróbki.



nagromadziła masę produkcji, imponując cenami tak niskiemi, że u nas tego rodzaju produkty z drzewa bywają droższe.

Stałą sensacją Carrary są jej „cave" łomy. Od peryferyj miasta droga coraz silniejszymi wirażami wspina się w górę. Z pięknej serpentynowej szosy roztaczają się coraz piękniejsze widoki. Już oko ogarnia całą Carrarę z lotu ptaka. Wygląda jak wielki półmisek, wypełniony żółto-rudawą dachówką i białym pyłem. Jeszcze moment — wzniesienia i zakręty są coraz gwałtowniejsze — i przed tobą rozpina się migocąca wstęga seledynu morza. Kto pragnie emocyj, niech spojrzy z auta prosto wdół! Ze szosy wpada auto w zgiełkliwe uliczki i piazzettę. To osada górnicza, Ravaccione. Na tle ścian górskich zawisło nad przepaściami miasteczko, ocienione gajami kasztanowymi. Osad i miasteczek, pobudowanych w pobliżu kopalń spotyka się więcej. Są pełne osobliwego czaru i charakteru. Autostrada prowadzi dalej, do wysokokości ponad 1000 metrów nad poziom morza. Naprzekór trudnościom rozwija się tu życie, we wszelkich jasnych i smutnych swych przejawach. Wśród spiętrzonych domków Ravaccione jaśnieje kopulasta bazylika, a osobno na boku rozłożył się melancholijny cmentarzyk, typowo włoskie „campo santo".

Auto wspina się coraz trudniej, coraz wolniej jeszcze wyżej ku osadzie Torrione, na wysokość około 1000 mt. Coraz więcej białego pyłu, gruzu i bloków. Wreszcie platforma wśród szerokiej przełęczy, skąd otwiera się widok na poszczególne punkty i „cave". Obserwując dookoła krajobraz widzi się wciąż jeszcze w skałach gardziele tuneli, łuki wiaduktów, sieć komunikacyjną, rusztowania, dźwignie, konstrukcje, jasne plamki budynków i magazynów niemal na szczytach. Na graniach bieleją siwe plastry — to ściany odkrywek marmuru. Od poziomu morza, od portów pełnych ładunku drogocennego kamienia, odbywa się niepowstrzymany ruch aż po same szczyty. Na szczycie Sagro, na wysokości bezmała 2.000 mt. znajduje się urząd telegraficzny. Na załomach skał giną długie szlaki spustów t. zw. lizzatura. Akcesorja ciężkiej pracy ludzkiej i nieprzystępny charakter tego terenu mówią, ile wieków trzeba było na zorganizowanie tu życia.

Górnicy o ogorzałych twarzach, twardych rysach i żylastych ramionach z dumą wskazują na tereny łomów: Femtiscritti, Crestola, Piastra, Monterosso i inne. Długie piły okrążają cięciem kolosalne bryły; gdzie trzeba wysadza się skały minami. Na niższych kondygnacjach terenu kopalń widać długie sznury wagonów, załadowanych jak kostkami cukru blokami surowca najprzedniejszego „Carrara statuario". Kiedyś wędrował tu pieszo Michał Anioł, największy genjusz dłuta, by własnoręcznie wybrać głazy dla swych „Jeńców"... Zbliża się wieczór. Powrót. Auto ostrożnie opuszcza się szosą wdół, prześlizguje się przez gwar ulic Carrary, wreszcie wypada na lśniący asfalt szosy. I już morze zmywa ci ze stóp ziarnisty górski pył karraryjski...

Ludwik Tyrowicz.



Powyżej: Praca kamieniarzy w łomach marmuru w Carrarze.



Na lewo: Zwózka bloków marmuru. Bryła przymocowana z tyłu wozu służy jako hamulec.



Carrara i Alpy Apuańskie widziane od morza.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

ZNACZKI „F. I. S."

Republika Austrjacka może się pochwalić, że znaczki wydawane przez nią na cele dobroczynne są w ogólnem pojęciu najpiękniejszemi jakie dotychczas którekolwiek z ministerstw poczt wydało.

Jest tego jednak trochę za dużo przez kilka lat kontentowano się tylko jedną serją rocznie, od pewnego czasu, kiedy tradycja i popyt na te marki osiągnął już żądany poziom, drukuje się je z rozmaitych niezbyt uzasadnionych okazyj.

Wielkie zawody o mistrzostwo Międzynarodowego Związku Narciarskiego (F. I. S.) w 1933 doczekały się specjalnej serji, a wobec tego, że nie można było ustalić wysokości nakładu, cena wahała się z początku, aż rok temu okazało się, że znaczków tych wcale już w handlu niema i zamiast 3 zł. ceny nominalnej — wynosi ona obecnie 15 zł.

Wiedząc napewno, iż doświadczeni już zbieracze wykupią cały nakład, również i w tym roku z okazji mistrzostw zjazdowych F. I. S. postanowiono wydać 4 egzemplarze w ilości — po 70.000 sztuk. Cena rynkowa znaczka państw takich jak Austrja, Niemcy, Francja, U. S. A. itp., którego istnieje 100 tysięcy sztuk równa się 2—3 złotym, znaczka o wyżej wspomnianym nakładzie przeciętnie 2 razy tyle. W chwili więc, gdy pismo filatelistyczne „Postmarke" zawiadomiło swych czytelników o szczegółach, jeszcze miesiąc przed datą ukazania się



Specjalna serja znaczków austrjackich, wydana z okazji zawodów o mistrzostwo Międzynarodowego Związku Narciarskiego.



Znaczki czechosłowackie, wydane na cele dobroczynne.

serji, wpłynęło pod adresem redakcji tyle podań o poczynienie zakupów, że po raz pierwszy wobec minimalnego przyznanego kontyngentu musiano odrzucić 90 proc. zgłoszeń.

Cena serji „przy okienku" miała wynosić 2.65 zł., to też w dniu 20 lutego o godz. 8 rano przed gmachem głównej poczty w Wiedniu stał naokoło bloku domów nie ogonek ale wąż z 6.000 filatelistów, którzy wiedzieli, że za wyłożone pieniądze zakupią znaczki 4-krotnie wyższej wartości. O godz. 14.30 znaczków zabrakło! Jest to napewno rekord światowy szybkości wysprzedania regularnie wydanej marki pocztowej. Jeszcze wiele tysięcy ludzi, którzy czekali przez kilka godzin na deszczu dopominało się — napróżno. Rozpoczęto demonstrować, tak, że policja utrzymująca dotychczas z największym trudem porządek, nie miała innego wyjścia, jak tylko rozpędzić tłum.

Również i w kilku miastach prowincjonalnych Graz, Innsbruck już przedpołudniem wysprzedano cały zapas i cena wynosiła już następnego dnia około 10 zł. Dzisiaj nie można ich wprost otrzymać i tylko kilka największych firm oferuje je po następujących cenach: 11.30, 12.65, 14.40, 15.— zł. — rozpiętość olbrzymia! (bez kosztów przesyłki). Wobec tego, że znikoma ilość dostała się w ręce kupców i żadne zapasy nie istnieją, w krótkim czasie staną się te znaczki niedostępne dla nowych zbieraczy.

O samych markach, które obecnie reprodukujemy (ze zbioru braci Horainów) możemy tylko wypowiedzieć się w superlatywach. Jest to niezwykle precyzyjna rotograwura (druk wklęsły) — barwy żywe — sceny narciarskie, jak na fotografjach — a wartość najwyższa — widok Innsbrucka w zimie — może śmiało stawać do konkursu na najpiękniejszy znaczek świata. Format znaczków duży — 39×30 mm.

Zaznaczyć jednak musimy, iż nie jesteśmy zwolennikami znaczków dobroczynnych — niektóre katalogi (Yvert) uważają słusznie, że nie mają one większej wartości filatelistycznej. Do sprawy tej, która zresztą wymaga absolutnie reformy, powrócimy przy najbliższej sposobności.

Zły przykład jest zaraźliwy. — Czechy dość długo się opierały, ale oto i one wkraczają na drogę „inflacji" znaczków. „50 h detem" = 50 hal. na dzieci — to suma, którą filateliści będą dopłacać do znaczków za 50 h, 1 Kc, 2 Ks; barwy: zielona, czerwona, wzgl. niebieska. Rysunki są to motywy z t. zw. Horologjum — Manesza na ratuszu w Pradze (taki sam na wartości za 50 h jak za 2 Kc.

W. H.

CIEKAWE DROBIAZGI

DO CZEGO DOCHODZI TECHNIKA!



Na wystawie hotelarskiej w Berlinie pokazano zwiedzającym wiele ciekawych i nadwyraz praktycznych urządzeń, zaoszczędzających pracownikom dużych hoteli zachodu i trudu. Oto przyrząd do napełniania filiżanek herbatą lub kawą, przyczem nalewanie płynu odbywa się w sposób nadwyraz precyzyjny. Jak stwierdzono w przeciągu 10 minut można napełnić 150 filiżanek, co czyni wspomniany aparat bardzo pożądanym nietylko dla restauracyi, ale również wszelkiego rodzaju instytucyj, w których pracuje i jada wielka ilość osób.

WIECZNA ONDULACJA — W JEDNEJ MINUCIE.



Mnożą się aparaty do wiecznej ondulacji, elektryczne, parowe, radjowe, a ilość ich powiększa się z dnia na dzień. Jedne sensacyjniejsze od drugich. Jedne reklamowane ponad drugie. Każdy przedstawia jakieś nowe ulepszenia. Polegają one przedewszystkiem na dążności skrócenia do minimum czasu „męczarni" pięknych klijentek, poddających swe włosy tej operacji. Reprodukowany tu najnowszy aparat amerykański osiąga zapewne najwyższy rekord, bo działanie jego obliczone jest zaledwie na.. jedną minutę.

ALRAUNE

(TAJEMNICZY KORZEŃ MANDRAGORY)



Korzeń mandragory posiada nieraz dziwaczny wygląd, przypominając postać człowieka.



Oto korzenie mandragory wraz z kwiatami i liśćmi.

Fantazja ludu od dawien dawna przypisywała wielu roślinom jakieś niezwykłe (czarodziejskie) właściwości. Rośliny te cieszyły się wielkiem uznaniem. Jedną z takich ciekawych czarodziejskich roślin znaną od najdawniejszych czasów była mandragora (Mandragora officinarum), zwana także Alraune lub „dziwostrętem". Dziwaczne kształty korzenia tej rośliny znane były z południowo-wschodniej Europy, Himalajów, a także krajów śródziemnomorskich. Ściągały one do siebie licznych czarowników, którzy przyrządzali z nich napoje miłosne, a także i lekarstwa.



Figurki wycięte z korzenia mandragory. Druga od lewej strony jest falsyfikatem, będąc sporządzoną z korzenia czosnku Allium Victorialis.



Alraune zrobiona z korzenia rośliny bryonia alba.



Chińska figurka z korzenia wyobrażająca przypuszczalnie fetysza.

Znaną była ta roślina już w starożytnym Egipcie, znali ją również Rzymianie, którzy nazywali ją nawet circeum, ponieważ wierzyli, że przy pomocy soku z tej rośliny, Circe, znawczyni czarów, zamieniła towarzyszy Tezeusza w wieprze. Dzisiaj jeszcze w Arabji jest ona używana do sporządzania napojów miłosnych.

Korzeń tej rośliny jest mięsisty i zwykle fantastycznie rozszczepiony tak, że często można się w nim dopatrzeć postaci ludzkiej. Korzenie, liście i owoce tej rośliny posiadają własności lecznicze. W starożytności już znano narkotyczne jej działanie i podawano choremu przed operacją sok z tej rośliny, przez co uzyskiwano całkowite znieczulenie. Korzeń przypominający ogólnym kształtem korzeń znanego dobrze buraka, przez charakterystyczne rozszczepienie przybiera postać jakgdyby jakiegoś ziemnego człowieczka.

Już Pitagoras zwrócił uwagę na dziwaczny kształt tego korzenia i określił go jako ludzkokształtny. Rzymianie zaś nadawali mu nazwę „półludzkiego". Jak wynika z opowieści pisarzy greckich i rzymskich, przypisywano mu nawet duszę. Opowiadano, że przy wydobywaniu go z ziemi wydaje ze siebie tak przenikliwy krzyk, że słuchających go przyprawić może o szaleństwo. Pliniusz podaje, że nim się korzeń tej rośliny wykopie, musi się najpierw nad miejscem, w którem rośnie, zakreślić mieczem trzykrotnie kręgi. Według innego pisarza nie może korzenia tego wyciągnąć z ziemi człowiek, lecz musi użyć do tego celu pośrednictwa psa. Przywiązuje mianowicie korzeń do psiego ogona i w ten sposób wydobywa go na powierzchnię ziemi.

Ten, kto odważy się na niebezpieczeństwo czarów i wydobędzie korzeń mandragory-alraune, ten uzyskuje w niej fetysza, posiadającego dlań wielkie znaczenie we wszystkich okolicznościach życia. Mająca w nim mieszkać uduchowiona, czarodziejska istota wykonuje rozmaite czarodziejskie czynności.

Ten, kto posiadł Alraune, ma w niej talizman szczęścia. Swemu właścicielowi przynosi ona szczęście, pomnaża jego dobytek, chroni od niebezpieczeństw. Wzamian jednak wymaga troskliwej opieki. Każdej soboty musi być wykąpana w wodzie i winie, a w każdy nów odziana w piękną, nową szatę jedwabną. Wyróżniano Alrauny męskie i żeńskie. Jedne i drugie cieszyły się wielkiem uznaniem i szacunkiem. Według średniowiecznych zwyczajów po śmierci właściciela Alrauny, przechodziła na najmłodszego syna, który wzamian zato musiał ojcu swemu włożyć do trumny kawałek chleba oraz pieniądz. Stale zatem Alraune pozostawała w rodzinie. Zauważono, że nie opuszcza ona nigdy swego właściciela, nawet wtedy, gdy ją odrzuci. Odchodzi jednak bezpowrotnie wtedy, gdy właściciel jej sprzeda ją po niższej cenie, aniżeli sam ją nabył.

Korzenie mandragory przycinano nakształt ludzkich postaci, robiono z nich amulety i sprzedawano po wysokich cenach. Nie rzadko w sprzedaży ich pośredniczyli cyganie.

Często zdarzały się naśladownictwa korzeni jakichś innych roślin. Wycinano go z części podziemnych czosnku siatkowatego (Allium victorialis), które stanowiły wydłużone cebule, pokryte brunatnemi włóknami. Używano także korzeni przestępu dwupiennego (Bryonia dioica), pokrytych licznemi brodawkami. W płd. Rosji przycinano je w kształcie małego dziecka i kąpano w mleku oraz odziewano w piękne szaty. Pozatem jako falsyfikaty sprzedawano także korzenie przestępu białego (Bryonia alba), a także kilku innych roślin, należących do psiankowatych. Preparowano niewielkie korzenie wilczojagody (Atropa belladonna), a także psianki słodkogorza (Solanum dulmara), krewniaków pospolitego ziemniaka i pomidora.

Prawdopodbnie wycinano Alraunki z korzeni tych roślin także i dlatego, że działają oszałamiająco, a nawet trująco, dzięki alkaloidom, które zawierają w swych tkankach. Wskutek narkotycznych właściwości mandragora podobnie jak i wilczojagoda znalazła zastosowanie w lecznictwie, a dziś jeszcze niektóre ludy wschodnie używają liści mandragory do palenia, podobnie jak tytoniu.

Dziwaczny korzeń mandragory, przypominający ludzką postać, stał się źródłem fantastycznych opowieści nietylko w starożytności i średniowieczu. Dość wymienić głośną przed kilkunastu laty niesamowitą powieść H. H. Eversa.

Dr. Z. M.

PIEŚŃ POLSKA na estradach świata

SUKCESY EWY BANDROWSKIEJ-TURSKIEJ



Znakomita śpiewaczka Ewa Bandrowska-Turska szczyci się sukcesami scenicznemi w całym nieomal świecie.

Najpopularniejszą artystką polską w Rosji jest obecnie niewątpliwie Ewa Bandrowska-Turska. Mogłaby rok bez przerwy jeździć od miasta do miasta, a nie starczyłoby napewno wieczorów dla tych ogromnych rzesz publiczności, która, wypełniając do ostatniego wolnego, już nawet nie siedzącego, ale stojącego miejsca, wielkie sale koncertowe, entuzjastycznie wita za każdym razem naszą znakomitą śpiewaczkę. O tem przepełnieniu sal koncertowych i nastroju publiczności rosyjskiej w czasie koncertów Bandrowskiej-Turskiej, świadczą liczne fotografje, z których kilka, dokonanych w czasie występów naszej śpiewaczki, wywiera na oglądającym imponujące wrażenie: estrada otoczona stłoczoną publicznością, słuchacze zapatrzeni z adoracją w artystkę.

W rosyjskich sferach muzycznych jednogłośnie podnoszą, że takich manifestacyj rozentuzjazmowanej publiczności nie pamiętają sale koncertowe od czasu występów wielkiego Szalapina.

Drugą obok Rosji, zagraniczną domeną artystyczną Ewy Bandrowskiej-Turskiej jest Ameryka. Trzy miesiące roku ubiegłego (luty, marzec i kwiecień) spędzone na tournée w Stanach Zjednoczonych (Nowy Jork, Chicago, Cleveland, Boston i Waszyngton) były okresem prawdziwych sukcesów artystycznych (16 koncertów i recitali), czego dowodem zaproszenie do powtórzenia takiej podróży po Stanach Zjednoczonych w najbliższej przyszłości.

Pani Ewa wróciła niedawno temu do Warszawy po kilkutygodniowym pobycie w Odessie, gdzie brała udział w ośmiu koncertach symfonicznych i recitalach. Poprzednia podróż artystki po miastach Rosji trwała od września do połowy stycznia (68 koncertów w Moskwie, Leningradzie, Odessie i Kijowie).

Przed kilkunastu dniami złożyłem znakomitej śpiewaczce wizytę w jej miłej, niedawno zbudowanej willi na Saskiej Kępie. Rozmawiając o stosunkach artystycznych w Rosji, dopytywałem się o zainteresowanie polską sztuką: Kogoby chcieli tam widzieć, a zwłaszcza słyszeć z polskich artystów?

— No, przedewszystkiem Kiepurę... — odpowiedziała pani Ewa. — Kiedy tamtejsi managerowie zwierzali mi się z tych planów, radziłam przygotować dużo pieniędzy!

— A jakie są plany pani na najbliższą przyszłość? Chyba po tylu koncertach należy się solidny wypoczynek?

— Niema mowy o odpoczynku. Już przecież po powrocie śpiewałam w sali warszawskiego Konserwatorjum, w trzy dni później we Lwowie na dzieci rezerwistów, a niedługo wystąpię na estradzie w Krakowie, przeznaczając dochód z koncertu na Muzeum Narodowe. Po świętach znów wybieram się w podróż, tym razem do Szwecji.

Ewa Bandrowska-Turska wzięła całkowity rozbrat ze sceną operową i występuje tylko na estradach koncertowych z programem niezwykle bogatym, ciągle zmienianym i rozbudowanym. W najbliższych koncertach usłyszymy utwory: Veckerlin'a, Liszta, Gretry, Isouarda, Flagny'ego, Saint-Saënsa, Czajkowskiego, Rymskij-Korsakowa, Własowa i Perkowskiego. **Mt.**

DROGA NA PÓŁNOC

JERZY OLESKI — NOWELA

Wicher północy wiał mrozem, ścinającym krew w żyłach, bił z wściekłością w spiętrzone zapory lodów i niósł tumany śniegu w bezkresną pustynię lodową. Nad uśpionemi w swej martwocie białemi polami niósł się nieustanny świst, szum i chichot, jakgdyby ożyły wszystkie duchy Północy.

A nad tem wszystkiem rozciągało się szare, ciężkie niebo, jakgdyby żałobny całun śmierci, jednostajne i równie martwe od krańca do krańca. W kurzawie śniegu rozpłynęły się widnokręgi i świat stał się jedną szaro-mleczną masą, która kłębiła się chłostana biczami huraganu.

W taką godzinę nie wychodzi na świat Boży żadne stworzenie. Nawet wilk, władca tych okolic, zagrzebie się pod osłoną bloków lodu w śnieg przed wiatrem i czeka, aż szalejąca burza ucichnie. Lecz ci, których burza w drodze chwyci, wiedzą, że zatrzymywać się im nie wolno, że tylko ruch chroni ich przed ową białą zawieją, która płynie nad pustynią, że każdy postój na tym strasznym mrozie, od którego błogo drętwieją członki, oznacza — śmierć.

I dlatego Bill Snaith nie zatrzymywał się, gdyż znał to okrutne prawo.

Wśród wichury potężny jego głos brzmiał słabym okrzykiem: „Eheyoooo". A zaprzęg jego, składający się z sześciu najlepszych psów, z których każdy był więcej wart, niżli dziesięć innych, szedł już ostatkiem sił. Psy stuliły uszy i szły z nozdrzami tuż przy ziemi, wysuwając daleko naprzód nogi, aby oprzeć się naporowi wiatru. W ich zmrużonych oczach czaiła się trwoga i wysiłek, kiedy zebrawszy nogi, wyszarpywały sanki ze śnieżnych zasp.

A Bill szedł przodem i uderzeniami szerokich nart ubijał szlak, którego trzymał się skwapliwie stary, mądry pies-przewodnik.

Jedna myśl wbiła się Billowi w mózg, jedna ale najważniejsza, stanowiąca o wyniku tych śmiertelnych zapasów, o tem, czy jutro będzie siedział w cieple ogniska, czy też spocznie w białej, wygodnej pościeli-śniegów. Był nią krzyk instynktu samozachowawczego: nie zgubić kierunku".

I dlatego w chwilach, gdy wiatr przyciszał się na ułamek sekundy, Bill otwierał szeroko oczy i, zbierając resztki osłabionej znużeniem świadomości, patrzył z natężeniem w przestrzeń, czy nie dojrzy znanych zarysów brzegu Yukonu. Wiedział on, że śnieżyca taka w kilka godzin nie ucichnie, że trwać może dni kilka i że zbłąkać się w niej, to znaczy odnaleźć szlak, który wiedzie już na Tamtą Stronę. Obliczenia jego wskazywały, że idąc w tym kierunku, który raczej instynktownie, niżeli na podstawie jakichkolwiek danych ustalił — winien w przeciągu trzech godzin znaleźć się na rzece pod osłoną dość wysokiego z tej strony brzegu, a w przeciągu następnych dwu godzin winien dobijać do pocztowego domku nad rzeką.

Liczył też, że na tyle wystarczą ostatki sił jego i psów. Każda jednak minuta ponad rachubę oznaczała możliwość przegranej. Lecz Bill Snaith należał do typu ludzi, którzy, mając jedną możliwość wygranej przeciw stu, myśleli właśnie o tej jednej i na

nią liczyli. Zresztą drogę tę odbywał nie po raz pierwszy w ciągu kilku lat swej służby przy zaprzęgach pocztowych na Północy.

Ale tymczasem wicher chłostał każdy milimetr twarzy, wystawiony z pod futrzanego kaptura i odbierał czucie palcom, drętwiejącym w futrzanych rękawicach. Wściekłość jego zwiększała się i tamowała każdy ruch. Po dwakroć zapadał Bill w głębokie a niewidoczne doły i wiele sił zużył, aby wydobyć się z matni w ciężkiem okryciu.

Psy coraz częściej przysiadały na zadach z wywieszonemi ozorami, coraz słabiej prężyły szleje sań, ale jeszcze szły przynaglone od czasu do czasu świstem i uderzeniem długiego bata i podniecone okrzykiem.

Droga stawała się coraz uciążliwsza. Znowu Bill wpadł po pas w sypki śnieg, który zdradliwie wyrównywał ukryte pod nim doły, znowu wysiłkiem zmęczonych członków wywlókł się na brzeg rozpadliny i rozpoczął żmudną pracę udeptywania śniegu przed zaprzęgiem. Wichura szalała. Wciskała niesione tumany śniegu w każdy fałd ubrania, biła w zmęczone oczy i w mgnieniu oka piętrzyła zaspy na drodze. Billa. I jakby z uciechy szalonej wyła i huczała, jak sto wodospadów

Pierwszy padł młody pies Aman. W chwili wypoczynku położył się na śniegu, a kiedy inne psy zachęcone okrzykiem powstały, on również usiłował się podnieść, lecz nadaremnie. Zatoczył się na zesztywniałych nogach, zawył krótko i padł głową w śnieg. Bill wiedział, że należy mu oszczędzić uderzenia batem, że ani bat, ani pieszczota już go nie podźwigną.

Zanim zdołał go wyprząc, ciało jego przebiegły przedśmiertne drgania i pies znieruchomiał na zawsze. Bill pamiętał jego pierwsze kroki w zaprzęgu. Często nocą, kiedy psy w śnieg zagrzebane spały, on wołał faworyta do namiotu i kładł go obok siebie. Pieszczotą ręki pożegnał towarzysza, który szedł z nim do ostatniego tchnienia.

W jego oczach zabłysła zawziętość, w bezsilnej wściekłości zacisnął zęby. Pies pozostał na śniegu. Po dwugodzinnych zmaganiach, gdy zaczął rozpoznawać brzeg rzeki po zarysach jego linji, padł drugi pies. Zanim Bill zorjentował się w przyczynie zatrzymania się zaprzęgu — pies nie żył. Padł w czasie pochodu i ciałem swojem wstrzymał zaprzęg. Przez chwilę zaprzęg skotłował się. Psy idące przodem, kąsane przez swych towarzyszy, próbowały odwrócić się pyskami, lecz bat Billa uspokoił je natychmiast.

Znalazłszy się na wysokim brzegu, Bill zaczął ostrożny zjazd. Zgubił przy tem swój kij i skutkiem pędu wpadł z zaprzęgiem w głęboki śnieg, jednak sanie, obciągnięte płótnem i sznurami wytrzymały upadek.

Pod osłoną brzegu było nieco zaciszniej, wichr nie targał i nie smagał śniegiem z taką wściekłością. Wzamian za to śnieg nawiany z góry piętrzył się olbrzymiemi wydmami i był mniej ubity, co niezwykle utrudniało posuwanie się naprzód. Z góry niósł wicher nowe masy śniegu i rzucał je ponad głową na rzekę. Wiele czasu zmitrężył Bill, zanim wydobył zaprząg ze śniegu, zanim skostniałemi palcami, w których tracił czucie, rozplątał zgmatwane sznury i dźwignął wbite w śnieg sanie.

Był jednak pewny, że teraz kierunku zgubić nie może. Ale wnet inna myśl zaczęła go dręczyć. Jeżeli w zadymce nie dojrzy świateł domku, albo jeżli Jim Atkins zgasił je, nie spodziewając się jego przyjazdu wobec niesłychanej burzy — to może przejść obok domku i nie dostrzec go.

I na dobitkę złego uczuł Bill, że opanowuje go śmiertelne, nieznane nigdy przedtem znużenie. Potykał się coraz częściej. Krok jego już dawno stracił pewność, ubijany szlak był coraz gorszy i coraz częściej psy zapadały, tak że tylko dzięki połączonym wysiłkom psów i człowieka udawało się sanie ruszyć z miejsca.

Bill zorjentował się, że źle obliczył swoje siły, że może mu zbraknąć tych kilkudziesięciu minut, które teraz decydowały o wszystkiem. Na zakręcie rzeki spotkał zator lodowy, nad którym wichura usypała znaczne wzniesienie. Psy raczej przeczołgały się, niżli przeszły przezeń, ale też kilkadziesiąt kroków za nim położyły się dwa z nich na śniegu, aby więcej nie powstać.

Bill załączył linkę do zaprzęgu i szedł teraz z pozostałemi dwoma. Pocieszała go myśl, że już tylko dwie godziny dzielą go od ludzkiego osiedla, od ciepłej strawy, miękkiego barłogu ze skór, ogniska i od odpoczynku. I wyobrażał sobie, że stary Jim gotuje mu wodę w kociołku na herbatę, dolewa araku, od którego po ciele rozchodzi się błogie ciepło. Na olbrzymim kominku ogień wesoło strzela i właśnie Jim wyjmuje zeń żarzący się węgielek, aby mu zapalić fajkę...

Nagle węgielek zgasł i Bill ocknął się z odrętwienia. Jeden z psów siedział na śniegu i wył strasznie, długo, żałośnie. Bill słyszał taką muzykę nie pierwszy raz. Wyły często psy w gwiaździste noce na obozowiskach. Ale w ich wyciu brzmiała inna nuta, brzmiały w niej bezbrzeżny smutek i psia tęsknota za czemś nieznanem. Lecz w wyciu tego psa przebijały się strach i rozpacz. To był triumfalny pean Śmierci.

I Bill, choć nie był zabobonny, choć śmiał się z opowiadań starego Indjanina Otaho, który przy ognisku opowiadał o duszach wcielonych w psy, poczuł zabobonną trwogę. Psy czują Śmierć, która z białej pustyni idzie nieubłaganie po swoje ofiary. Tak wyły psy, zdawało się bez przyczyny żadnej, gdy zeszłej zimy młody Norweg Carsen ruszał na Północ. Pamiętał. Pili za powodzenie wyprawy. Szedł z nimi wtedy, stary Jones, o którym żartobliwie mawiano, że na biegunie się urodził. Śmieli się, gdy stary, posłyszawszy to wycie, posmutniał. Byli młodzi i nierozważni. Jednak Norwega i starego nikt od chwili wyjazdu więcej nie spotkał.

I teraz Bill zaczynał rozumieć, że to może być jego ostatnia podróż, że może już nigdy nie przypnie nart i nie weźmie bicza w rękę i na myśl o tem ogarnął go żal za młodem życiem.

Kiedy odpinał przedostatniego psa, stary Togo oparł mu na rękę głowę ze skowytem i popatrzył oczyma, w których czaiło się straszne pytanie. Lecz Bill nie uważał się jeszcze za pokonanego, jak długo choć iskierka życia w nim tliła, jak długo czuł stukot zmęczonego marszem serca w piersiach.

I wlókł się teraz razem z psem, który kulił się i żałośnie skomlił. Czuł w piersiach ostry ból, wargi zdawały się być z drewna, oczy nieznośnie piekły. Choć nogi ciężyły mu okrutnie, jakby kto do nich przytwierdził stufuntowe ciężary — szedł dalej, padając często w śnieg, a ilekroć padał, miał ochotę tak pozostać i zaniechać dalszego wysiłku.

Skomlenie psa przywracało mu jednak świadomość i zaczynała się na nowo ta okrutna walka człowieka i zwierzęcia z huraganem. Bill zaczynał chwilami tracić przytomność. Z kłębowiska burzy zaczęły płynąć ku niemu znane postacie. I Olaf Carsen i stary Jones i krzywy, mały Willy, co na harmonji grywał w restauracji. Ten ostatni śmiał się szeroko i przycisnąwszy jakiś basowy ton, trzymał go długo, rozciągając harmonję do niebywałej długości.

I znowu na chwilę ocknął się Bill, dojrzał ginące w dali, ponure brzegi Yukonu, usłyszał przeciągły łoskot burzy i jeszcze raz zebrał tę odrobinę sił, która się w nim jeszcze kołotała. Nawet stary Togo przestał skomleć i zdawało się, że zbiera siły. Ale kilkadziesiąt kroków uszedłszy, utknął w zaspie i podzielił los towarzyszy. Bill był zobojętniały na wszystko. Odciął psa i ciągnął sam sanie, na nich bowiem wiózł pocztę i swój honor. Zostawić je na pastwę śnieżycy znaczyło dlań tyle, co dla kapitana uciec z tonącego okrętu.

Wiedział teraz, że Śmierć idzie obok niego, że zagląda mu w oczy i pyta drwiąco „czy długo jeszcze wytrwasz?". Czuł jednak, że już niedługo. Nawet z ulgą myślał o tem, że miękki, chłodny śnieg zasypie zmęczone oczy i uściele mu wygodne leże.

Byle jeszcze pół mili, kilkadziesiąt yardów, kilka kroków przynajmniej, dokąd sił starczy.

Nagle potknął się na czemś twardem, co jednak nie było bryłą lodu. Ze śniegu sterczała ludzka noga. Bill rzucił się do odgarnywania śniegu. Trafił na twarz. Była skurczona ostatnim wyrazem trwogi, która wyzierała ze szklistych, napół przymkniętych oczu. Poznał. Leżał przed nim Brockington, awanturnik znany na Północy, jako indywiduum ciemne, podejrzewane o różne sprawy.

I Bill, owładnięty trwogą, ruszył gwałtownie, jakgdyby mu dawne siły wróciły.

Oto przeciął szlak Śmierci.

Ale za następnym zakrętem rzeki, okrzyk radości wyrwał się z jego ust: W dali płonęło, jak radosny sygnał zbawienia, czerwone światło pocztowego domku.

Bill nigdy nie zdawał sobie sprawy z tego, jakim sposobem przebył tę milę dzielącą go od domku. Na jego uderzenia w drzwi otworzył mu Jim Atkins. Przeżegnał się na jego widok. Zobaczywszy sanie, spytał o psy.

— „Zostały! Tam" — wskazał Bill ręką w ciemń nocy i wyjącą burzę.

Zbielałemi ustami wymamrotał: „O milę.. Brockington.. ..trup". Lecz Jim usadowił go na ławie, rozpiął futro i rzekł twardym głosem, w którym nie było litości:

— „Brockington zamordował człowieka dla pieniędzy. Uciekał, lecz sprawiedliwość Boża dosięgła go na pustyni. Dlatego nie doszedł do progu".

——O——

PAMIĄTKI POZNAŃSKIEGO PATRYCJATU.



Targ na rynku poznańskim, według starego obrazu.

Mniej więcej do początku XVI wieku miasta polskie rozwijały się podobnie jak i zagraniczne, dochodząc w wielu wypadkach do dużej zamożności. Póki nie nastały niemądre i w bogactwo całego społeczeństwa godzące konstytucje, mieszczaństwu polskiemu przypada w udziale piękna rola. Lecz już w r. 1496 sejm w Piotrkowie wydaje uchwałę, która zapoczątkowuje wiele następnych, coraz to niekorzystniejszych: uchwala on zakaz nabywania dóbr ziemskich przez mieszczan, zakazuje im zajmowania wyższych stanowisk w hierarchji kościelnej i wiele innych ograniczeń, skierowanych przeciwko cechom i dotyczących ceny, miary i wagi. Ustawy te w XVII wieku miały doprowadzić wraz ze współdziałającemi w tym kierunku wojnami szwedzkiemi, kozackiemi i moskiewskiemi do zupełnego nieomal upadku zamożności miast.

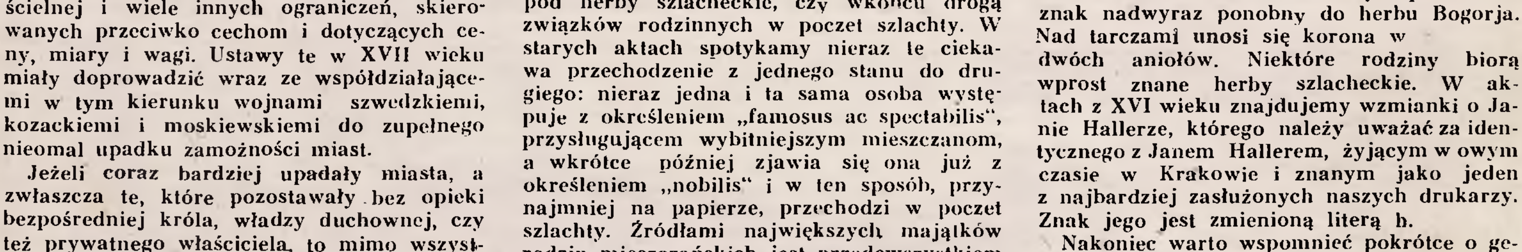
Jeżeli coraz bardziej upadały miasta, a zwłaszcza te, które pozostawały bez opieki bezpośredniej króla, władzy duchownej, czy też prywatnego właściciela, to mimo wszystko duże miasta polskie jeszcze do końca XVII wieku zachowały pewną zamożność i zdołały odegrać pewną rolę polityczną, dobrze nieraz zasługując się Polsce. Uprzywilejowanych tych miast było jednakowoż niewiele: Kraków, Warszawa, Poznań, Lwów, Toruń, Wilno, Lublin, Piotrków i Kijów. Jeżeli Lwów, będąc pośrednikiem handlu ze Wschodem, wzbogacał się na olbrzymich transkacjach, zawieranych przez szlachtę kresową, to Poznań, Gdańsk i Warszawa były bezpośrednim lub pośrednim łącznikiem w handlu zbożem, idącym Wisłą do Bałtyku.

Nigdy wprawdzie miasta polskie nie wytworzyły tak odgraniczonego przywilejami od reszty ludności patrycjatu, jak to miało miejsce w licznych miastach włoskich, niemieckich lub niderlandzkich, ale w każdym razie i u nas znaleźć można pewien zastęp rodzin, które piastując z ojca na syna stanowisko konsulów lub prokonsulów albo też ławników miejskich, siłą faktu stanowiły o losach miasta. Dalecy tu jesteśmy od patrycjatu Florencji, Genui, Wenecji, Hamburga, Lubeki, Bremy, Frankfurtu, Lipska czy Gandawy lub Antwerpji, ale i tu spotykamy ciekawe i piękne tradycje, ciągnące się nieraz od XV do XVIII wieku. To, co wybiło się ponad szary otaczający element miejski, przechodziło czy to drogą nobilitacji, czy też mniej oficjalną, podszywania się pod herby szlacheckie, czy wkońcu drogą związków rodzinnych w poczet szlachty. W starych aktach spotykamy nieraz te ciekawa przechodzenie z jednego stanu do drugiego: nieraz jedna i ta sama osoba występuje z określeniem „famosus ac spectabilis", przysługującem wybitniejszym mieszczanom, a wkrótce później zjawia się ona już z określeniem „nobilis" i w ten sposób, przynajmniej na papierze, przechodzi w poczet szlachty. Źródłami największych majątków rodzin mieszczańskich jest przedewszystkiem handel zbożem, różnemi przyprawami, pochodzącemi z dalekich krajów, materjałami, suknem, lecz również dzierżawa żup solnych. Najwybitniejsze z tych rodzin przeszły wkrótce na karty herbarzów szlacheckich, starając się oczywiście zatrzeć wspomnienie swego pochodzenia i przystroić się w mniej lub więcej dobrze wymyślone tradycje... których nie było. Tak uczynili Morsztynowie, Wielopolscy, Bonerowie Szembekowie i in. Nieraz jednak nawet możni panowie szukają wśród bogatych mieszczanek swych żon: Andrzej Tenczyński ożenił się z córką Szwajcara, Leonarda Fogelwedera, Andrzej Stadnicki z Salamonówną, Melsztyński z Szwarcówną, Lanckoroński z Kreidlerówną, a hrabia na Żywcu, Liptowie i Orawie Komorowski zaślubia mieszczankę krakowską Walaskównę.

W miarę przybywania majątku i dostojnych paranteli rodziny mieszczańskie starają się upodobnić do szlachty, przyjmując swoje rodzinne znaki, czyli herby mieszczańskie, zwane też gmerkami. Są one zazwyczaj dwojakiego rodzaju: albo kreskowe, albo też godłowe, przypominające nieraz znane herby szlacheckie. Mieszczaństwo poznańskie, posiadające, jak zresztą i w innych miastach polskich, dużo elementu niemieckiego, wykazuje w tym kierunku ciekawe nader zabytki. Poznańska rodzina Ridtów, z których pochodził Hieronim, podżupek wielicki, posiada herb kreskowy, a zmienia go później na obrazkowy, co zdarzało się również w innych rodzinach. Daniel Kremer z Halberstadt w r. 1563 nosi tarczę trójpolową, w której figurują trzy kule, Andrzej Feder nosi godło przypominające herb Szeligę z dodatkowym monogramem. rodzina Ungerów, z pochodzenia Madjarowie, nosi w tarczy mężczyznę, trzymającego w ręku pałkę, Łukasz Dicius występuje w r. 1579 jako doktór medycyny i filozofji, pieczętuje się gmerkiem kreskowym, a dzierżawca mennicy poznańskiej, Jan Keel, również nosi znak kreskowy. Przechodzenie od znaków kreskowych do obrazkowych zdarza się z powodów bliżej nieznanych, należy jednak przypuszczać, że spowodowane było chęcią upodobnienia swych znaków do herbów szlacheckich. Nieraz nad herbami mieszczańskiemi znajdujemy korony szlacheckie, co oczywiście było wtedy nadużyciem, niemniej jednak posłużyło może później do przejścia w szeregi szlachty. Rodzina Wendlandów, grająca w Poznaniu w XVIII wieku wybitną rolę, posiadała ciekawy herb: na pieczęci Michała Wendlanda, prokonsula miasta Poznania, widzimy dwie tarcze, z których lewa zawiera w koronie dwa klucze, ułożone na krzyż, prawa zaś znak nadwyraz ponobny do herbu Bogorja. Nad tarczami unosi się korona w dwóch aniołów. Niektóre rodziny biorą wprost znane herby szlacheckie. W aktach z XVI wieku znajdujemy wzmianki o Janie Hallerze, którego należy uważać za identycznego z Janem Hallerem, żyjącym w owym czasie w Krakowie i znanym jako jeden z najbardziej zasłużonych naszych drukarzy. Znak jego jest zmienioną literą h.

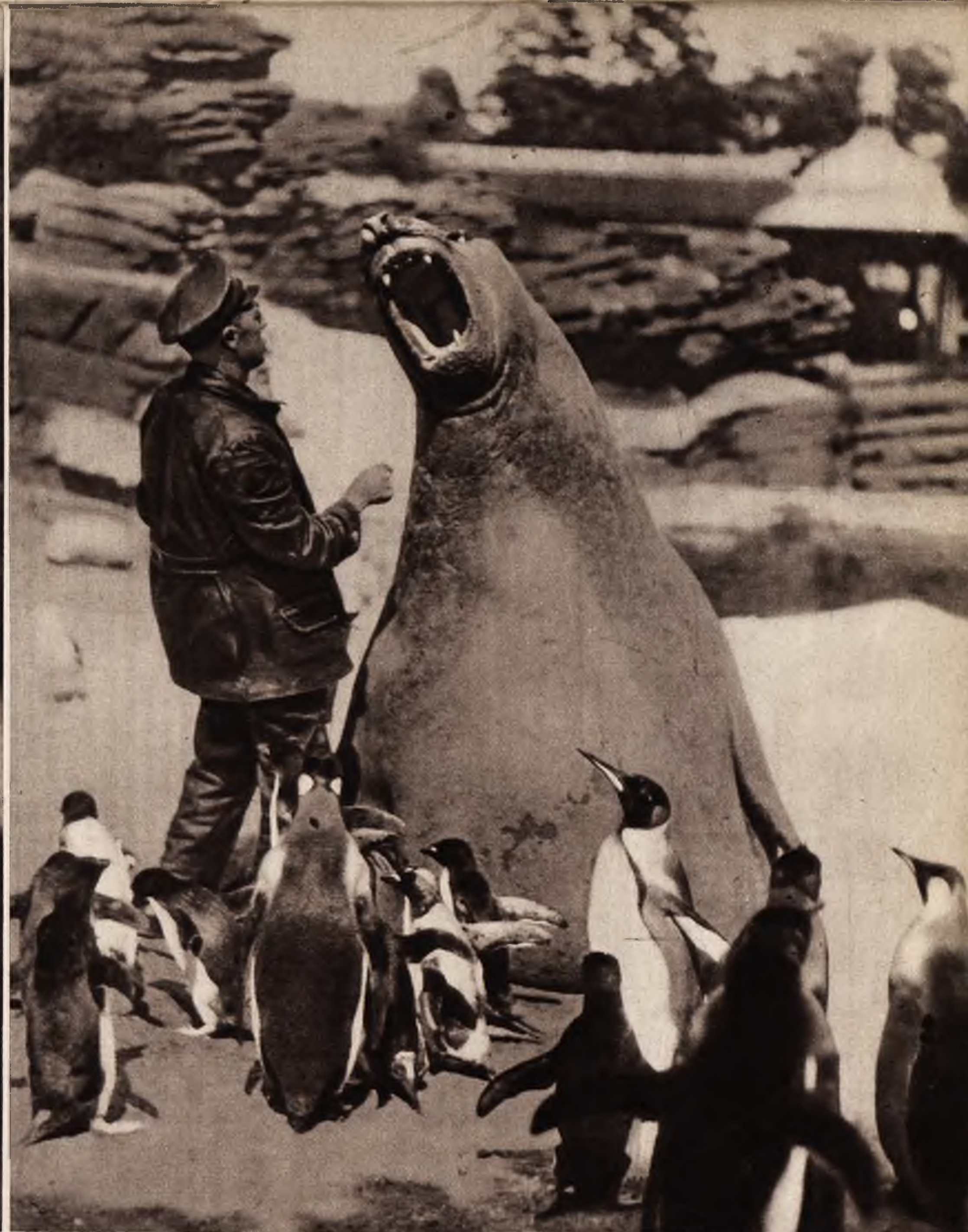
Nakoniec warto wspomnieć pokrótce o genezie gmerków. Historycy i heraldycy zauważyli zjawianie się ich w różnych czasach i różnych krajach bez wzajemnego związku: jest to zjawisko ogólne, opierające się na pewnych cechach natury ludzkiej i na względach czysto praktycznych. Od wieków zależało ludziom na tem, aby oznaczyć swoją własność w sposób widoczny i stąd wybierali pewne znaki, łatwo dające się wyciąć na drzewie, wyrzeźbić lub wykuć. Nadwyraz ciekawe studja na tem tle przeprowadzono o gmerkach rybaków nadbałtyckich. O ile u nas nauka o herbach mieszczańskich i gmerkach pozostaje jeszcze w powijakach, o tyle na Zachodzie, w Niemczech, Austrji, Włoszech posiadają one bardzo bogatą literaturę i zdawna ustaloną tradycję.

Jan Maleszewski.



Od lewej: herb Jana Hallera, h. Andrz. Federa (1564), podobny do Szeligi, h. Jana Keela (1603), h. Aleks. Ungiera (1633), h. Jonasza Szmidla (1633) przypom. herb Zaremba, h. Henryka Kijowskiego, notarj. pozn. (1617), przypom. herb Radwan, h. Wendlandów (1717), ciekawy gmerk niewiadomego właściciela.





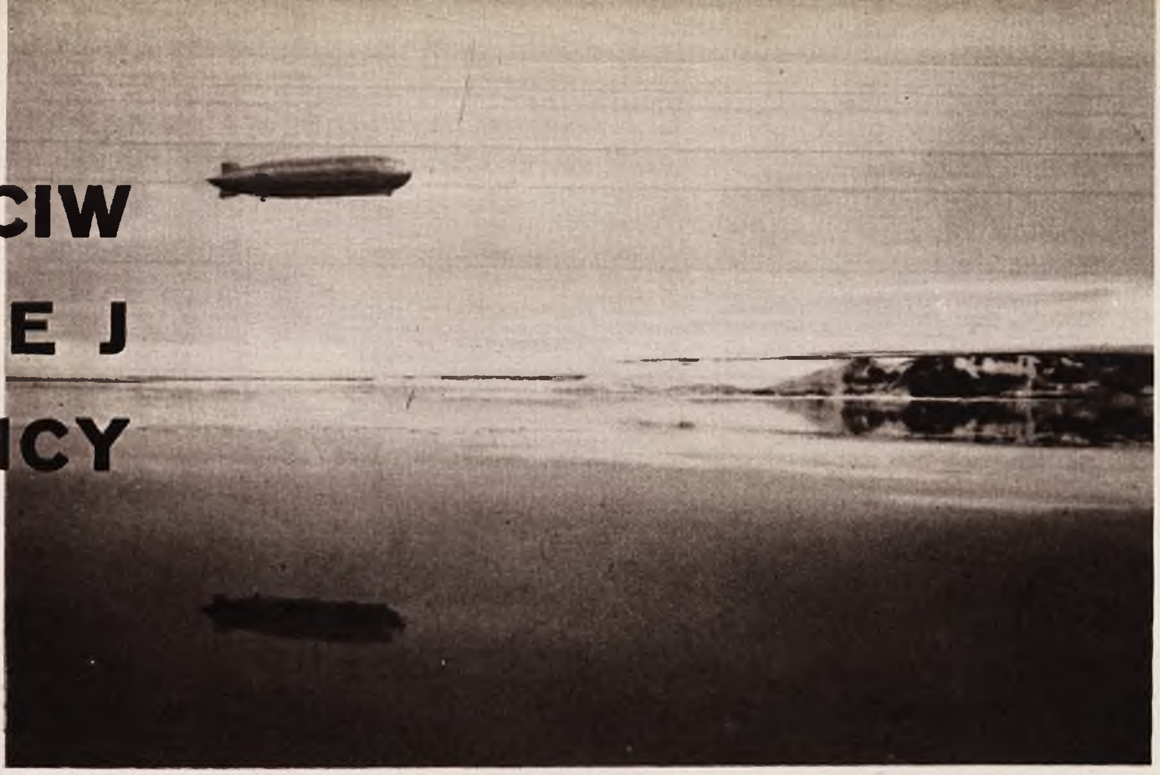
Ulicznego śpiewaka — **WYSOKIE „C"** — zgłodniałego morsa.





Freda Astaire — **TANECZNY KROK** — ognistego mustanga.

NAPRZECIW BIAŁEJ TAJEMNICY



Niemiecki sterowiec L. Z. 127 przelatuje nad Ziemią Franciszka Józefa. — Zdjęcia dokonano z pokładu rosyjskiego statku „Małygin“.



Podróżnik norweski Roald Amundsen.



Sterowiec „Norge“ na którym Amundsen dotarł do Bieguna Północnego.

Krąg polarny, zaznaczony na mapie przerywaną linją — to granica przyjaznych temperatur, to brama świata mało znanego, pełnego groźnych niespodzianek, gdzie człowiek tylko w najwyższem napięciu woli i wszystkiemi siłami przeciwstawić się może twardej naturze.

Klimat i nadwyraz trudne warunki bytowania spowodowały, że ziemie i morza poza kręgiem polarnym, do dziś tak mało są znane. Prowadzone ostatnio badania, liczne wyprawy naukowe i ekspedycje bohaterów-szaleńców, narażających swe życie — stwierdziły, że „białe ziemie“, a także morza dalekiej Północy kryją olbrzymie bogactwa naturalne. Bogactwa te do niedawna nieprzeczuwane nawet — chronione były wyjątkowemi warunkami, panującemi w tych okolicach — przed pochodem człowieka-zdobywcy.

Od wieków już, wspomniane wyżej okolice zaciekawiały i pociągały ku sobie cywilizowany świat. Średniowieczni jednak żeglarze, rozporządzający kruchemi statkami żaglowemi, nie mogli zapuścić się zbyt daleko. — W wieku XVIII powstaje myśl użycia balonu, jako statku powietrznego, na którym-by można urządzić wyprawę do Bieguna. Nie potrzeba chyba dodawać, że idea ta, pomimo prawdopodobieństwa powodzenia takiej wyprawy, spowodu braku odpowiedniego sprzętu nie została zrealizowana.

Dotychczas znane bogactwa naturalne okolic podbiegunowych są nader obfite. Z okolic tych pochodzi olbrzymia ilość szlachetnych metali, drogich skór zwierzęcych, drzewa, tłuszczy zwierzęcych, ryb i przetworów rybnych. Jednocześnie — podbiegunowe szlaki morskie są niezwykle ważne dla eksploatacji arktycznych wybrzeży. Nawigacja na tych szlakach skróciłaby bardzo wydatnie połączenia między ważnemi portami.

Rosja Sowiecka, która od granic Finlandji po Cieśninę Beringa posiada kilkadziesiąt tysięcy kilometrów wybrzeża, rozwinęła ostatnio bardzo energiczną działalność na tych terenach — dążąc do ucywilizowania ich.

Twardy, nieustępliwy biały człowiek, prący na północ, posiadł w ostatnich latach broń, która bezwątpienia skutecznie, a może nawet wyłącznie przyczyniła się do opanowania Północy. Bronią tą stał się samolot. Bez jego pomocy tereny polarne byłyby wciąż jeszcze niedostępnemi, jak przed kilkudziesięciu laty.

W XV. wieku żeglarze angielscy i holenderscy zapuszczali się na Północ. Celem tych wypraw nie były oczywiście badania naukowe, lecz chęć odnalezienia nowych dróg morskich do Chin.

Pierwszą wyprawę lotniczą do Bieguna Północnego odbyli w r. 1897 Szwedzi. Wyprawa ta zaginęła i dopiero pięć lat temu, w r. 1930 ekspedycja Gunnara Horna odnalazła na Wyspie Białej — ślady tragicznej wyprawy szwedzkiej, a z notatnika Andrée'go dowiedziała się, a z nią cały cywilizowany świat — jaki los spotkał tego uczonego i jego towarzyszy — Stringberga i Fraenkla, oraz balon, na którym lecieli.

Tak więc pierwsza wyprawa lotnicza do Bieguna Północnego, wykonana na balonie kulistym, o pojemności 5.000 mtr.^{3}, zakończyła się tragiczną katastrofą.

Następną próbą balonowego lotu biegunowego była wyprawa amerykańska na prymitywnym sterowcu. Wyprawa ta odbyła się w pierwszych latach XX wieku i nie odniosła zamierzonego sukcesu.

Pierwsze loty arktyczne na samolocie miały miejsce w r. 1914. Loty te odbył pilot Nagórski. Na miesiąc przed wybuchem wojny światowej, załadowany został przez Rosjan samolot Farman na statek — i dostawiony do zatoki Kriestowej. Tam też nastąpił start. Nagórski tak opowiada o swym locie:

„Leciałem wzdłuż brzegów Nowej Ziemi. Przy cyplu Borysowa pojawiła się kra. Zbliżały się ciężkie chmury. Z dołu nawiało mgły. Kiedy orjentacja stała się trudna — musiałem kierować się tylko busolą. Po godzinnym locie w chmurach, odnalazłem wreszcie wyspy Gorbowe! Po osiągnięciu cypla Litkiego i okrążeniu wysp Berentsa, zawróciłem, aby wodować w pobliżu wysp Pankratiewa. To jednak nie udało mi się, gdyż morze zalegała kra, a prócz tego panowała dość gęsta mgła. Ruszyłem dalej i około 9 rano opadłem na wody obok cypla Borysowa“.

Lot Nagórskiego trwał 4 godz. i 20 min., w ciągu których Farman przeleciał 420 klm.



Gen. Nobile, kierownik włoskiej wyprawy polarnej.

Nagórski prócz tego pierwszego lotu, wykonał jeszcze kilka innych podobnych.

Dawne jednak samoloty i ich konstrukcja oraz mały zapas paliwa, nie pozwalały na dalekie reisy. Dopiero powojenny samolot — ulepszony i silnie zbudowany, mógł nadać się do tego celu.

Pierwszych prób dalekich lotów arktycznych dokonał Amundsen w r. 1921. Niestety pierwszy jego samolot został rozbity. Druga wyprawa samolotowa tego podróżnika na Junkersie zakończyła się również awarją. Próby te jednak pobudzają innych badaczy polarnych do intensywnej działalności, rezultatem której są coraz liczniejsze próby lotów arktycznych na samolocie.

I tak w r. 1923 odbywa się wyprawa niemiecka, a w r. 1924 angielska, uniwersytetu oxfordzkiego. Wreszcie w r. 1925 znowu Amudsen próbuje szczęścia na samolocie i podczas swej podróży powietrznej osiąga szerokość 87 stopni i 43 min.

Prawie równocześnie próbuje szczęścia R. Byrd, który na brzegach Grenlandji „ćwiczy" swego Fokkera do dalekich lotów. — Wreszcie po licznych próbach Byrd wraz ze swym towarzyszem Bennetem osiągnął podczas lotu biegun, okrążył go, czyniąc obserwację, poczem szczęśliwie zawrócił i wylądował w Kingsbay.

W r. 1926 Amundsen, Ellsworth i Nobile odbyli udałą wyprawę do Bieguna. Ekspedycja ta wyruszyła na sterowcu „Norge" z Kingsbay. Amundsen i jego towarzysze przelecieli nad Biegunem i okrążając go przez dłuższy czas, poczynili liczne obserwacje, poczem według zamierzonego planu, polecieli dalej i szczęśliwie wylądowali w Nome — na Alasce.

Roald Amundsen, który prowadził tę wyprawę, przyczynił się walnie do jej powodzenia. Ten podróżnik norweski (ur. w r. 1872), jako wielki znawca okolic polarnych, uczestniczył przed wspomnianą udałą wyprawą w podobnych ekspedycjach już od r. 1896. W r. 1903—1906 poszukiwał on Bieguna magnetycznego na północnych brzegach Ameryki i odkrył przejście północno-zachodnie w r. 1908. Wreszcie 14 grudnia 1911 r. dotarł do Bieguna Południowego. Oto jeszcze kilka dat z życia tego twardego człowieka, dążącego uparcie do raz wytyczonego celu.

Wyprawy balonowe do Bieguna zakończyły się olbrzymią katastrofą włoskiego sterowca „Italia". Sterowiec ten osiągnął wprawdzie swój cel, krążąc przez dwie godziny nad biegunem — jednak w drodze powrotnej runął na ziemię, poczem uniósł się znowu w powietrze i z resztą załogi przepadł bez śladu w białych bezmiarach. Do dzisiejszego dnia nie odnaleziono szczątków „Italji".

Żyje jeszcze pamięć tych strasznych telegramów, donoszących o katastrofie, która wstrząsnęła całym światem równie silnie, jak późniejsze rewelacje o akcji ratowniczej członków wyprawy.

Podczas katastrofy „Italji" zginęło ośmiu uczestników wyprawy. Między ofiarami mroźnej Północy znalazł się także szwedzki uczony Malmgren.

Na ratunek nieszczęśliwych rozbitków wyruszyły statki wszystkich narodowości. Także samoloty w liczbie około 20-tu przyłączyły się do energicznej akcji ratowniczej i do poszukiwań miejsca pobytu aeronautów. Po kilku tygodniach szwedzki lotnik Lindborg wyratował Nobilego, a dwa miesiące potem sowieccy lotnicy Czuchnowskij i Babuszkin wywieźli resztę ocalałych żeglarzy.

Także niemiecki sterowiec, sławny L. Z. 127 pod dowództwem dra Eckenera odbył lot arktyczny. Dotarł on wprawdzie tylko do Nowej Ziemi ale wyniki obserwacji i badań okolic podbiegunowych były olbrzymie. L. Z. 127 odbył swą podróż wynoszącą około 13.000 klm. w czasie 106 godzin.

Lotnicy wszystkich narodów dowiedli podczas szeregu różnych katastrof i wypadków, w których zagrożone zostało życie i mienie ludzkie, że najskuteczniejszem narzędziem pomocy jest — choćby w najtrudniejszych warunkach — samolot.

W r. 1929 lód unieruchomił w Morzach Północnych statki rosyjskie i amerykańskie. Samoloty obu tych krajów podczas akcji ratowniczej wywiozły marynarzy z zagrożonych statków, ocalając im życie. Warto przypomnieć również, że w czasie tej akcji zginęli dwaj lotnicy amerykańscy Eielson i Borland. Rozbili oni swój aparat na stromem, skalistem wybrzeżu, lecąc we mgle. Ciała bohaterskich lotników odnaleźli koledzy po wielu dniach niebezpiecznych poszukiwań.

Tak samo przedstawiała się sprawa z zaginionym pilotem amerykańskim Matternem, który podczas swego rekordowego lotu naokoło świata zaginął w bezmiarach lodowych pustyń. Matterna odnalazł i wyratował sowiecki lotnik Z. Lewoniewski.

Rosjanie, posiadając olbrzymie — niedostępne przez większą część roku tereny — zrozumieli szybko, jaką rolę może odegrać samolot w cywilizowaniu tychże terenów. Od r. 1924 rozpoczęły samoloty sowieckie swą regularną służbę na nalekiej Północy. Były to na początku prace hydrograficzne, które pozwalały na ustalenie ruchów kry lodowej.

Zastosowanie samolotu szybko rozszerzyło się. Wkrótce piloci sowieccy informowali rybaków o położeniu i kierunku ławic rybnych, a myśliwych o zwierzostanie w pewnych okręgach. Nic dziwnego, że produkcja sowiecka futer, tłuszczów i przetworów rybnych stale wzrasta w okolicach objętych akcją lotniczą, stwarzając podstawy młodego przemysłu w niezamieszkałych dotychczas stronach.

Samoloty sowieckie obsługują także karawany statków, przedzierających się przez Morza Północne, jakoteż stanowią szybką i niezawodną komunikację między nowopowstałemi miastami syberyjskiemi, jak Butun, Igarka, Dudinka itd.

Wyłącznie lotnictwu należy przypisać fakt powstawania nowych okręgów przemysłowych poza pasem polarnym. Lotnictwo bowiem umożliwiło szybkie poznanie niedostępnego kraju i jego bogactw naturalnych.

Wiele nieznanych dotąd miejscowości amerykańskich, angielskich i rosyjskich znalazło się obecnie na szlakach lotniczych. Dzięki temu zbliżone zostały one do świata cywilizowanego. Błyskawiczny postęp lotnictwa każe przypuszczać, iż nieznane tereny znikną ostatecznie zupełnie z mapy.

A. M.



Spiętrzone lody na morzach podbiegunowych uwięziły parowiec, który wyjechał na połów ryb



Zdjęcie pustyni lodowej na „końcu świata", wykonane z samolotu Byrda.



Na lewo: Mapka obszarów podbiegunowych. Widoczna Wyspa Duńska, z której wyruszyła ekspedycja Andrée'go i Wyspa Biała, gdzie znaleziono szczątki członków ekspedycji. U dołu: Zdjęcie z r. 1897 przedstawiające grupę organizatorów wyprawy Andrée'go w przededniu tragicznego lotu. Ostatni na prawo siedzi Andrée, w środku w mundurze kpt. Fraenkel, drugi od lewej Stringberg.



MIMIKA na srebrnym ekranie

ZDZIWIENIE... Anny Shirley.



KOKIETERJA... Claudette Colbert.



WAHANIE... Ginger Rogers.



CIERPIENIE... Gloria Swanson.



EKSTAZA... Kay Francis.



MŚCIWOŚĆ... Paulette Goddard.





RADOŚĆ ŻYCIA... Joan Wheeler.



PRZERAŻENIE... Katarzyna De Mille i Jimmy Allan.



IRONJA... Iail Prick.



POŻĄDANIE... Adrienne Ames.



Na prawo: OCZEKIWANIE... Marlena Dietrich.

Zastanawiając się nad doskonałością filmów amerykańskich dochodzi się do przekonania, że poziom swój zawdzięczają one w pierwszym rzędzie doskonałym reżyserom, którzy zdołali wychować znakomite gwiazdy ekranu.

Ktokolwiek widział fotografje Grety Garbo z czasów jej młodości — z epoki, kiedy występowała jeszcze na scenach szwedzkich i porówna je z kreacjami tej artystki, stworzonemi przez nią w filmach amerykańskich — musi przyznać, że szwedzka Garbo i amerykańska to dwie różne osoby.

Amerykańska szkoła filmowa jest twórczynią współczesnego kunsztu gry filmowej, który zasadza się w bardzo znacznym procencie na mistrzowskiej mimice twarzy. Musimy sobie uprzytomnić, e między srebrnym ekranem, a sceną zachodzi łaśnie w odniesieniu do kwestyj mimicznych dnicza różnica. Na ekranie raz wraz widzimy arz aktora powiększoną do nadnaturalnych miarów, często kilku metrów kwadratowych. Na cenie twarz aktora nie jest nigdy tak dobrze doczną z widowni, nigdy nie jest podniesioną tak naczelnego akcentu gry aktorskiej, jak wła e na srebrnym ekranie.

Mimika filmowa doprowadzon została do artyzmu w okresie władztwa filmu mego. W owych „zamierzchłych" czasach twarz ra musiała mówić. Pamiętamy wszyscy Veidta. go mistrza maski, którego podziwialiśmy w rji znakomitych filmów. Nigdy nie przyszło nam a myśl, że brak mu jest głosu... że za kilka lat te sam Veidt przemówi do nas ze srebrnego ekra u. Istotnie artystom tej miary, którzy kunszt ekspresji mimicznej doprowadzili do wyżyn wspaniałego mistrzostwa — głos nie był koniecznym, aby przemawiać do widzów.

Artyści ze szkoły amerykańskiej odznaczają się wielką naturalnością mimiczną. Wolni są od pozy i przesady, która zbyt często niestety cechuje artystów filmowych europejskich. Ekspresjonizm mimiczny jest kunsztem niezmiernie trudnym i wymagającym czujnej uwagi subtelnego reżysera. Od głębi wyrazu do patetycznej przesady brakuje niejednokrotnie tylko mały krok. Dobry reżyser potrafi jednak uchronić artystę przed przekroczeniem tego rubikonu.

J.

NASZ PRZEBÓJ MUZYCZNY

»RENDEZ VOUS«

SLOWFOX Z OPERETKI „MIŁOSTKI WIEDEŃSKIE"

Słowa:
W. KRZEMIŃSKIEGO

Muzyka:
A. LENCZOWSKIEGO







SALTO PŁYWAKA NA KLISZY.

Nieraz gdy patrzymy na skoczka-narciarza, szybującego w powietrzu i uzyskującego fantastyczne odległości, gdy widzimy skok do wody, lub ryzykowne ćwiczenia gimnastyków, zadajemy sobie pytanie, gdzie leży granica między sportem a akrobacją. I trzeba przyznać, że granicę tę jest bardzo trudno wytyczyć; trzeba zgodzić się na to, że aby stać się dobrym zawodnikiem w pewnych gałęziach sportu — musi się być trochę, mniej lub więcej, ale zawsze akrobatą.

Zresztą czyż każdy sportowiec nie jest w pewnej mierze akrobatą? Czy np. skok o tyczce, lub prosty skok wzwyż nie wymaga takiej samej sprawności, co cyrkowe ćwiczenia na trapezie?

Na prawo: Dwa i pół salta z rozbiegiem na kliszy korekturowej.



Ale nie o tem pragniemy tu mówić. Filozofja sportu jest rzeczą dalszą i trudno o niej wspominać tam, gdzie każda sprawność mięśniowa wywołuje entuzjazm setek tysięcy widzów. Dziś najgłębsze nawet rozważania problemu ćwiczeń fizycznych nie zmieni tego faktu, że stają się one z dniem każdym popularniejsze, że każdy stara się, jak może, aby wydrzeć palmę pierwszeństwa z rąk drugiego.

Z dnia na dzień doskonalą się metody szkolenia. Bo ostatecznie cudów nie ma — wszystko polega na zręczności i robi się cuda, aby dojść do tej właśnie magicznej, akrobatycznej zręczności. Na zamieszczonych obok zdjęciach widzimy akrobację bodaj, że najtrudniejszą, gdyż w grę wchodzi obcy i niechętny człowiekowi żywioł — woda.

Skok pływacki należy do najtrudniejszych ćwiczeń. W granicach sekundy sk' czek musi wykonać skomplikowaną ewolucję w powietrzu i to wykonać ją tak, aby wejść do wody nogami lub głową, aby rozbić srebrzystą taflę wody nieskazitelnie czysto. Skok na brzuch albo na plecy, to nietylko blamaż wobec kolegów, czy publiczności, ale także bolesne uderzenie, które daje śmiałkowi woda. Trzeba więc uważać.



Na lewo: Trener przymocowuje na ciele pływaczki małą baterję, która zasila trzy żarówki kontrolne: na głowie, w pasie i na stopach.

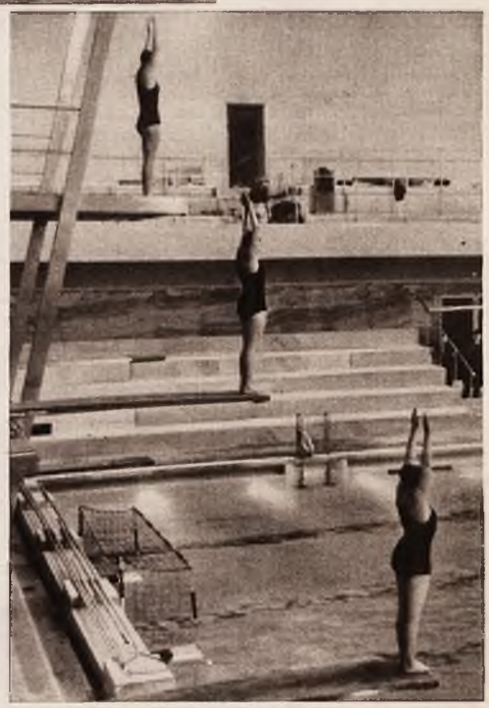




Umieszczone na skroniach, w talji i na stopie lampki elektryczne kreślą podczas skoku na kliszy fotograficznej jasne smugi, utrwalające linję skoku.



Jedna z żarówek korekturowych, umieszczona na hełmie pływaczki (Holenderka Tholen).



Olimpijska pływalnia w Berlinie — skoki z trampoliny.





Poszczególne fazy skoku do wody amerykańskiej mistrzyni Doroty Poynton.



Na prawo: Oryginalne zdjęcie grupowego skoku do wody.

Gdy jednak dojdzie się do pewnej sprawności — wówczas dopiero przekonuje się każdy zawodnik, że droga do szczytu jest bardzo trudna. Trzeba godzinami całemi studjować poszczególne ruchy, wykonywać je po setki razy, by wreszcie doprowadzić do wspaniałej całości, do sztuki, która porwie setki widzów, zgromadzonych wokół wieży skokowej.

Czego się nie robi, aby tę szczytową sprawność osiągnąć?

Niewiele zapewne osób zdaje sobie sprawę z tego, że ciało skoczka opisuje pewne linje geometryczne, które oczywiście podlegają stałym prawidłom. Trzeba je tylko umieć określić, poprostu narysować w powietrzu, a potem umiejętnie korygować, gdy skok trwa sekundę?

Zaradzili złemu Holendrzy. Jeden z trenerów słynnych pływaków holenderskich wpadł na pomysł, aby do ciała pływaczki, względnie pływaka przymocować trzy lampki elektryczne. Jedną na głowie, jedną na biodrach i jedną na nodze. Potem przyciemnia się światło w pływalni i puszcza się aparat filmowy w ruch. Otrzymuje się w ten sposób całość skoku w postaci linij świetlnych, w których trener wyzna się już doskonale i powie swemu uczniowi, jak należy skakać, aby poprawić braki.

Tak więc film znowu odda wielkie usługi sportowi. A wiemy dobrze, że nie dzieje się to po raz pierwszy. Już dawno ustalono, że najlepszym sposobem do korektury ćwiczeń sportowych jest właśnie aparat filmowy i sposób ten stosuje się coraz częściej i lepiej. Opowiadają np., że obecna rekordzistka świata w rzucie dyskiem Mauermeyer doszła do formy i właściwego stylu tylko dlatego, że na zawodach w Londynie sfilmowano naszą Wajsównę i potem studjowano jej styl tak długo, aż Mauermayer uchwyciła ten jeden decydujący o powodzeniu moment wyrzutu, który jej pozwolił pokonać naszą mistrzynię.

Teraz będziemy czekać Igrzysk Olimpijskich w Berlinie, aby dowiedzieć się, czy metoda holenderska w skokach przyniesie spodziewane rezultaty. Jak narazie bowiem Holendrzy mają doskonałe pływaczki (przedewszystkiem więc Den Ouden i Mastenbroek), ale o skoczkach słyszymy już rzadziej. Narazie na czele znajdują się Amerykanie, których przedstawiciele zdobywają przeważnie nagrody olimpijskie. Można tu np. przytoczyć przykład z ostatniej Olimpjady w Los Angeles, gdzie złote medale w skokach zdobyli Amerykanie, wśród panów Galitzen, a wśród pań Georgia Coleman. Wspólny sport i złote medale olimpijskie zbliżyły ich tak dalece, że obecnie pomyśleli także o... złotych obrączkach i zamierzają stanąć na ślubnym kobiercu. Jest to także jeden z przykładów, do czego doprowadzić może uprawianie sportu.

W każdym razie nie ulega wątpliwości, że jak skok pływacki jest jednem z najtrudniejszych ćwiczeń, tak jest i jednem z najpiękniejszych. Przykład Galitzena i miss Coleman wskazuje także na to, że jest bardzo... niebezpiecznym.

W. D.



Skomplikowane salto parami na pływalni berlińskiej.

PO SKOKU...
Zdjęcie z olimpijskiej pływalni w Berlinie.


N
N

„KOŁYSANKA" ZIUTY BUCZYŃSKIEJ



Ziuta Buczyńska, jedna z najlepszych reprezentantek polskiego tańca artystycznego, wystąpiła ostatnio w Warszawie z najnowszemi swemi kompozycjami, prezentując równocześnie swój młodociany zespół. Odniosła ona w br. duży sukces w Szwecji.

ADAM DIDUR W KRAKOWIE



Ostatnio Pałac Prasy w Krakowie odwiedził znany artysta Adam Didur, będący w przejeździe w naszem mieście. Na zdjęciu widzimy znanego śpiewaka w samochodzie, podarowanym mu przez Jana Kiepurę.

AS TEATRÓW REWJOWYCH



Na lewo: Jednym z najbardziej utalentowanych artystów polskich młodego pokolenia, jest Edmund Zayenda, który występował zarówno na deskach teatrów dramatyczno komedjowych, jak i operetkowych i rewjowych. Występy artysty w warszawskiej „Cyganerji" i „Starej bandzie", wileńskiej „Lutni" i ostatnio w krakowskiej „Bagateli" cieszyły się wielkiem powodzeniem.

Na prawo: Po raz pierwszy na ziemi śląskiej odegrano ostatnio w Teatrze Polskim w Katowicach „Wesele" Wyspiańskiego, uzyskując rekordowy sukces u publiczności. Na ilustracji widzimy wykonawców pp. Marję Walterównę i Józefa Wasilewskiego w roli państwa młodych.

WESELE WYSPIAŃSKIEGO W KATOWICACH



SUKCESY HATY SCHWARZÓWNY



Do młodych, lecz świetnie zapowiadających się uczenic szkoły tanecznej Janiny Mieczyńskiej, należy młoda Krakowianka Hata Schwarzówna, która ostatnio wystąpiła w Warszawie, interpretując „Pieśń religijną" do muzyki Corelli'ego.



Opowieść z EPOKI KAMIENNEJ

3-ci ODCINEK.

H. G. WELLS | PRZEKŁAD W. de RICHE | ILUSTR. CHARLIE

Słyszeli nawoływanie się ścigających. Ugh-lomi wydrapał się do niej, a kiedy biegł zygzakiem, aby nie stanowić dogodnego celu dla Waua, uczuł, że drugi kamień przeleciał mu nad uchem i spadł w wodę.

I wtedy Ugh-lomi, młodzieniaszek, zachował się jak dorosły mężczyzna. Skoro, biegnąc dalej, spostrzegł, że kulejąca Eudena zostaje wtyle, zawrócił z dzikim okrzykiem i twarzą wykrzywioną z wściekłości i ociekającą krwią, pobiegł na brzeg, wywijając maczugą. Eudena nie zatrzymywała się w biegu i oddalała się coraz bardziej, chociaż ból przeszkadzał jej poruszać nogami.

I tak się stało, że Wau wyszedł na brzeg i czepiał się wikliny, ujrzał nad sobą postać Ugh-lomiego, wyolbrzymioną na tle nieba, ujrzał, jak przechyla się wtył i podnosi maczugę. Maczuga świsnęła w powietrzu i świat znikł z przed oczu Waua. Woda pod łoziną rozprysła się, zamknęła nad ciałem obrabiacza kamieni i zabarwiła się krwią na przestrzeni sześciu stóp. Idący za nim Uya zatrzymał się w wodzie, która dochodziła mu do kolan, a jego towarzysz, zawrócił.

Inni mężczyźni, którzy spieszyli za swoim wodzem — żaden z nich nie odznaczał się wielką siłą, gdyż Uya, który był raczej chytry, niż odważny, nie znosił rywali przewyższających go pod tym względem — zwolnili natychmiast kroku na widok Ugh-lomiego, stojącego w łozinie, krwawego i groźnego, między nimi i dziewczyną i wymachującego maczugą. Zdawało się, jakby wszedł do wody młodzieńcem, a wyszedł z niej dorosłym mężczyzną.

Wiedział on, że poza jego plecami rozciąga się duża przestrzeń, porośnięta trawą, a potem gęstwina, w której Eudena mogła się ukryć. To było jasne dla niego, chociaż jego władze umysłowe były za słabe, aby mógł przewidzieć, co się stanie potem. Uya stał po kolana w wodzie, niezdecydowany i bezbronny. Jego obrzękłe usta były szeroko otwarte, odsłaniające kły... Dyszał ciężko. Na jego klatce piersiowej widniał ogromny siniec. Reszta mężczyzn miała zaostrzone kije. Przychodzili oni, jeden za drugim na brzeg, włochaci mężczyźni, z długiemi rękoma, w których dzierżyli kije i kamienie. Dwóch z nich pobiegło wdół rzeki i weszło do wody, na której powierzchni pokazał się Wau, dający słabe znaki życia. Ale zniknął im z oczu, zanim mogli zdążyć. Dwaj inni obrzucali Ugh-lomiego wyzwiskami.

Nie pozostał dłużny, krzyczał, gestykulował, groził. Potem Uya, który wahał się jeszcze, ryknął z wściekłości i wymachując pięściami, skoczył do rzeki. Za nim skoczyli do rzeki jego towarzysze.

Ugh-lomi oglądnął się i upewnił, że Eudena zniknęła już w gęstwinie. Może zaczekałby na Uyę ale Uya wolał pozostać w wodzie, dopóki nie nadejdą inni. Wszelkie czynności wykonywali ludzie w owym czasie gromadnie. Na zwierzynę polowali społem. Tak było i w tym wypadku, który nie był dla nich niczem innem, jak tylko polowaniem. Ugh-lemi, widząc że pogoń się zbliża, cisnął maczugę na Uyę, odwrócił się i uciekł.

Kiedy zatrzymał się, aby z cienia zarośli spojrzeć za siebie, przekonał się, że tylko trzech ścigających przebyło rzekę, ale że zrezygnowali z dalszej pogoni. Uya, który pluł krwią, był jeszcze w wodzie i trzymał się za bok. Inni zmierzali ku brzegowi. Na razie pościg przerwano.

Ugh-lemi przyglądał się im przez chwilę, a widok Uyi budził w nim wściekły gniew. Potem odwrócił się i zaszył w gęstwinę.

Eudena połączyła się z nim w przeciągu minuty i odtąd szli, trzymając się za ręce. Wiedział, że skaleczone kolano boli ją i dlatego wybierał lałtwiejsze ścieżki. Ale szli przez cały dzień, milę za milą, przez las i zarośla aż wkońcu przybyli do równi kredowych, łąk z nielicznemi gajami bukowemi i brzozowemi w pobliżu wody i ujrzeli wzgórza Wealdenu z pasącemi się na nich stadami koni. Szli okrężną drogą, trzymając się wciąż w pobliżu zarośli, gdyż była to dziwna okolica. Teren wznosił się stale wgórę tak, że wkońcu lasy orzechowe u ich stóp wyglądały jak szeroka, błękitna smuga, a bagna Tamizy świeciły w oddali, jak srebrne plamki. Ludzi nie widzieli, gdyż przybyli oni dopiero niedawno do tej części świata i trzymali się brzegów rzeki. Przed wieczorem znaleźli się znowu nad wodą, która płynęła w wąwozie, między wysokiemi, wapiennemi skałami. U stóp skał rosły brzozy. Ptaków było pełno. W górze, na urwistem zboczu znaleźli pod drzewem miejsce, gdzie postanowili przenocować.

Nie mieli przy sobie żywności; nie była to pora na jagody, a na zastawianie sideł nie było czasu. Maszerowali przez cały dzień, głodni i milczący, żując liście i młode gałązki. Ale na powierzchni skał było mnóstwo ślimaków, w krzakach znaleźli świeże jaja jakiegoś ptaka, a potem Ugh-lemi trafił kamieniem i zabił wiewiórkę na brzozie tak, że mogli najeść się wreszcie do syta. Ugh-lomi czuwał przez całą noc, z brodą wspartą na kolanach i słyszał, jak w pobliżu nawołują się młode lisy, jak w wąwozie trąbią mamuty, a w oddali śmieją się i jęczą hieny. Było zimno ale nie śmieli rozniecać ogniska. Ilekroć się zdrzemnął, dusza jego szła na spotkanie duszy Uyi i przychodziło między niemi do starcia. I zawsze Ugh-lomi był, jakby sparaliżowany, nie mógł bić się ani biec, a potem nagle się budził. Eudena śniła również brzydkie rzeczy o Uyi tak, że oboje zbudzili się z obawą przed nim i w mdłem świetle brzasku ujrzeli włochatego nosorożca, błądzącego w dolinie.

Przez cały dzień wygrzewali się w słońcu, a noga Eudeny była tak spuchnięta, że nie mogła ruszyć się z miejsca. Ugh-lomi znalazł kilka wielkich krzemieni — większych, niż wszystkie, jakie dotąd widział — przyniósł je a raczej przywlókł do schroniska i zaczął obrabiać, aby przygotować się na atak Uyi. Jeden z nich podobał mu się tak bardzo, że roześmiał się na głos, a Eudena roześmiała się również. Miał w środku otwór. Wkładali w niego palce; było to rzeczywiście zabawne. Potem spoglądali przez niego na siebie. Potem Ugh-lomi wsadził kij w otwór i kij

ten uwięzgnął tak, że nie można było wydobyć go. Było to jeszcze dziwniejsze — raczej groźne, niż zabawne i przez pewien czas Ugh-lomi bał się dotknąć kija. Wyglądało to tak, jakby kamień miał zęby i zacisnął je. Ale wkrótce oswoił się z tym widokiem. Podniósł kij w górę i przekonał się, że obciążenie kamieniem wpływa korzystnie na siłę uderzenia. Zaczął nim wymachiwać, ale po pewnym czasie znudziło go to. Odłożył kij na bok. Popołudniu wspiął się na skałę i położył się obok nor króliczych, czekając aż zwierzęta wyjdą się bawić. Ludzi nie było w pobliżu i króliki nie były płochliwe. Rzucił kamieniem i zabił jednego z nich.

Nocy tej rozniecili ogień przy pomocy krzemiennych iskier i zeschłych paproci i przespali się przy nim do rana. I znów nawiedził ich duch Uyi, a kiedy Ugh-lomi próbował napróżno walczyć, namacał przypadkowo ręką dziwaczny kamień, osadzony na kiju, uderzył nim i... zabił Uyę. Potem przyszły jednak dalsze sny o Uyi — gdyż duchy nie ustępują tak łatwo — i trzeba było zabić go drugi raz. Ale kamień nie chciał się już trzymać na kiju. Ugh-lomi zbudził się, zmęczony i przygnębiony... Chodził i rozmyślał przeto szereg godzin, nie zważając na Eudenę, a potem zamiast udać się na polowanie, usiadł i zaczął ostrzyć brzeg dziwnego kamienia, spoglądając od czasu do czasu na towarzyszkę wzrokiem znaczącym. Potem przymocował przedziurawiony krzemień do kija skrawkami skóry króliczej. Ukończywszy tę robotę, zaczął spacerować po półce skalnej, uderzając nim, mrucząc do siebie i myśląc o Uyi. Władał kijem pewnie i dobrze.

Przez szereg dni, więcej, niż mogli naliczyć ówcześni ludzie, a więc przez pięć lub sześć dni, pozostał Ugh-lomi z Eudeną na półce skalnej, w wąwozie ponad rzeką. Przestali się lękać ludzi, a ogień ich płonął przez całą noc. I było im z sobą dobrze, mieli pożywienia poddostatkiem, wody słodkiej, ile potrzebowali, a wokół żadnych wrogów. Kolano Eudeny zagoiło się po kilku dniach, gdyż rany na owe czasy goiły się szybko. Doprawdy, że byli bardzo szczęśliwi.

Pewnego z tych dni Ugh-lomi strącił odłam skały do rzeki. Patrzył, jak spada, znika pod wodą... Roześmiał się, zadumał i strącił drugi. Ten złamał i zgniótł krzak leszczyny w bardzo zabawny sposób. Spędzili cały ranek, bawiąc się zrzucaniem kamieni z półki skalnej, a popołudniu przekonali się, że równie dobrze można to robić ze szczytu skały. Nazajutrz zapomnieli o tej zabawie. A przynajmniej tak im się zdawało.

Ale Uya wracał we śnie i nie pozwalał im czuć się szczęśliwymi. Przybył trzykrotnie, aby walczyć z Ugh-lomim. Rano, po zbudzeniu się z takiego snu, Ugh-lomi chodził niespokojny, wywijając krzemienną siekierą, grożąc mu, aż wreszcie przyszła noc. Przed wieczorem Ugh-lomi zabił wydrę tak, że nie byli głodni. Tej nocy jednak Uya posunął się za daleko. Ugh-lomi zbudził się, jęcząc, wziął do ręki siekierę i dał znak Eudenie, aby go czekała na półce skalnej. Potem spuścił się na dół, spojrzał jeszcze raz na ognisko, ścisnął w garści siekierę i nie oglądając się za siebie, ruszył wzdłuż rzeki.

Przez dwa dni i dwie noce siedziała Eudena sama na półce skalnej, przy ogniu czekając... W nocy zwierzęta wyły na skałach i w wąwozie, a zgarbione sylwetki hien zaznaczały się wyraźnie na tle nieba na szczycie ponad schroniskiem. Ale nękała ją tylko obawa. Raz, bardzo daleko, usłyszała ryk lwa, ścigającego konie, które z nadejściem wiosny zmierzały przez łąki na północ. Przez cały ten czas czekała — czekała, cierpiąc.

Trzeciego dnia wrócił Ugh-lomi. We włosach miał pióra kruka. Pierwsza siekiera była zbroczona krwią. Miał na sobie naszyjnik, który nosiła ulubiona żona Uyi. Wracał ostrożnie, aby nie pozostawić śladów. Nie miał żadnej rany tylko siniec pod szczęką. „Uya!", zawołał Ugh-lomi, uradowany, a Eudena zrozumiała, że niebezpieczeństwo minęło. Włożył naszyjnik na szyję Eudeny i zaczęli jeść i pić razem. A po jedzeniu opowiedział jej całą historję od początku, od chwili, kiedy Uya rzucił okiem na Eudenę, kiedy Uyę i Ugh-lomiego, walczących w lesie, spłoszył szary niedźwiedź, uzupełniając nieliczne słowa wymownemi gestami, zrywając się co chwilę na nogi i wymachując siekierą, kiedy opisywał, jak przyszło do walki. Ostatnia walka była bardzo zażarta, a towarzyszyły jej krzyki, tupanie a nawet potężny cios siekierą w ogień tak, że snop iskier wzniósł się ku niebu. Eudena siedziała w czerwonem świetle ogniska, wpatrzona w niego, z zarumienioną twarzą, z błyszczącemi oczyma, w naszyjniku Uyi. Była piękna pogoda, a gwiazdy, które patrzą na nas, spoglądały i na nią, naszą prababkę — która zmarła przed pięćdziesięciu tysiącami lat.

ROZDZIAŁ II.

Niedźwiedź jaskiniowy.

W dniach, kiedy Eudena i Ugh-lomi uciekali z plemienia Uyi w stronę porośniętych sośniną wzgórz Wealdu, poprzez leszczynowe lasy, porośniętą trawą równinę i ukryli się wkońcu w wąwozie rzecznym między wapiennemi skałami, ludzi było mało, a osiedla ich położone były daleko od siebie. Najbliżej — ale w każdym razie w odległości jednego dnia marszu koczowało plemię Uyi, gdyż w górach nie było żywej duszy. Człowiek był w owym czasie, w tej części świata, niedawnym mieszkańcem. Zdążał wzdłuż rzek, przez całe pokolenia, z osiedla do osiedla, od południowego zachodu. Zwierzęta, żyjące w tej okolicy, hipopotamy i nosorożce z rzecznych dolin, konie z trawiastych równin, jelenie i dziki z lasów, szare małpy z wierzchołków drzew, bydło z wyżyn, wszystkie one lękały się go bardzo mało — nie licząc mamutów w górach i słoni, które przybywały z południa w czasie lata. Bo i dlaczego miałyby się lękać?...

(CIĄG DALSZY NASTĄPI).



Andu, ogromny niedźwiedź jaskiniowy...



Na lewo: Ćwiklińska i Dulęba w komedji Bałuckiego „Klub kawalerów".

XXX MIECZYSŁAWA ĆWIKLIŃSKA

Rodzina Trapszów dobrze i trwale zapisała się w historji polskiego aktorstwa i teatru. Dziadek Mieczysławy Ćwiklińskiej, Anastazy Trapszo, świetny aktor, reżyser warszawskich „Rozmaitości" (dziś Teatr Narodowy), rodzice Marceli i Aleksandra, stryjeńki Irena Trapszo-Chodowiecka i Tekla Trapszo-Krywultowa, stryj Stanisław — i ich twórczość sceniczna — to piękny i barwny rozdział dziejów polskiego teatru. Gdy przyszła na świat Mieczysława, a stało się to, jak sama żartobliwie wspomina, „przejazdem" między Warszawą a Lublinem, wczasie artystycznego tournée jej rodziców, ojciec Mieczysławy rzekł, że „zadużo już tych Trapszów w teatrze" i wraz z matką postanowił córkę kształcić na nauczycielkę.

Znalazła się na pensji p. Warnkówny w Poznaniu. I tu w ósmym roku życia pierwsze wspaniałe olśnienie artystyczne: poznaje Helenę Modrzejewską. Odtąd marzy o scenie, choć rodzice nie pozwalają jej chodzić do teatru. Wreszcie 16-letnie dziewczę ubłagało ojca, by pozwolił jej odczytać jakąś rolę. Zachwycony interpretacją tekstu ojciec krzyknął tylko: „przecież ona ma talent!" — i już w dwa miesiące później Mieczysława Trapszo debiutuje na scenie jako Helenka w „Grubych rybach" Bałuckiego, a wkrótce obok matki gra w warszawskich teatrach rządowych w „Gwałtu co się dzieje" Fredry. By zadużo Trapszów nie było na afiszu, obiera sobie panieńskie nazwisko babki, jako nazwisko artystyczne.

Młodziutka artystka rozpoczyna równocześnie studja wokalne, głos ma miły, piękny — śpiewa w wielu operetkach, zdobywa uznanie i zagranicą, ba nawet ma opracowanych dziesięć partyj operowych, z któremi ma odbyć artystyczne tournée. Na szczęście dla polskiego teatru dramatycznego, wybucha wojna, dzisiejsza jubilatka, Mieczysława Ćwiklińska, nie myśli więcej o operze, poświęcając się całkowicie scenicznej twórczości dramatycznej: zdobywa wkrótce rangę najpopularniejszej i najświetniejszej artystki komedjowej, równie znakomitej w stylowych komedjach klasycznych, jak i we współczesnej farsie. Powstają niezapomniane kreacje Ćwiklińskiej: Szambelanowa w „Panu Jowialskim", Podstolina w „Zemście" (kocha Fredrę i jego wiersz), Żegocina w „Panu Damazym" Blizińskiego, świetnie zagrane role w komedjach Bałuckiego, Perzyńskiego (w „Lekkomyślnej siostrze"), Grzymały-Siedleckiego, i tyle, tyle innych.

Ćwiklińska jest artystycznem wcieleniem żywiołu komizmu, jest w technice tworzenia roli, podobnie jak był Frenkiel, wielką improwizatorką. Rasa aktorska, silna indywidualność, wspaniały wdzięk i finezja ruchów, pozwalają jej być wzorem w klasycznych komedjach. Zamiłowanie do groteski, lekkiej karykatury, niesłychany czar i kokieterja zwyciężają wszystkie ewentualne błędy i niedociągnięcia farsowych postaci. Zawsze tryska młodością.

Niezłomna wielbicielka teatru i sztuki aktorskiej może od kilku lat oglądać i siebie gra bowiem i do filmów, tworząc tak świetne postacie, jak rubaszna kumoszka w „Panu Twardowskim"...

(s. w. bal.)



Na lewo: Mieczysława Ćwiklińska, święcąca jubileusz 30-lecia pracy scenicznej, u siebie w domu.

Poniżej: Mieczysława Ćwiklińska w filmie „Straszny dwór", według opery St. Moniuszki.





Ćwiklińska, jako znakomita Żegocina w komedji Blizińskiego „Pan Damazy".



M. M. DUDREWICZOWA

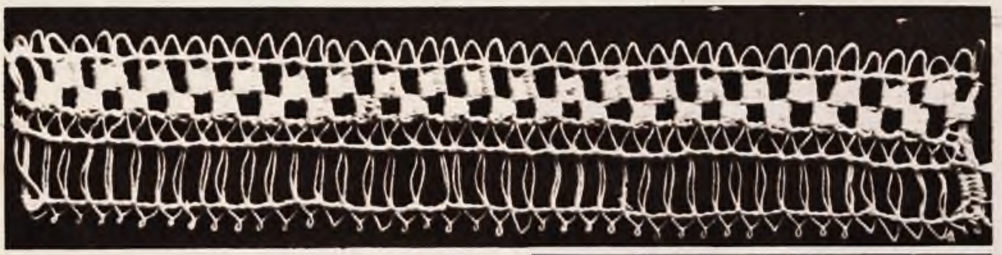
KORONKI TENERYFOWE



CZĘŚĆ III.

Wiązanie teneryfki.

Każdy pojedynczy motyw teneryfowy jakiegobądź kształtu musi być przy obwodzie powiązany, by potem teneryfkę łatwiej było wszyć w jakiś materjał.



Wstaweczka teneryfowa.

Wiążąc teneryfkę, łączymy tym sposobem ze sobą albo pojedyncze nitki tworzące promienie osnowy w kole, albo parki w osnowie.

Ażeby nitka, wiążąca teneryfkę wokoło, była zamknięta, to na pierwszym węźle, od którego zaczęłyśmy wiązanie, musimy na zakończenie jeszcze jeden węzeł zrobić.

Zaczynamy wiązanie, zginając lekko teneryfkę. Opieramy ją na drugim i trzecim palcu lewej ręki, kładziemy nitkę poziomo na promieniu i przytrzymujemy czwartym palcem wiszący koniec nitki na prawo, pierwszym zaś palcem przytrzymujemy na lewo dalszy ciąg tej nitki. Potem wkładamy igłę skośnie od góry ku dołowi spodem przyczem zawiązuje się węzeł.

Wyciągamy igłę do góry, ale pierwszym i czwartym palcem trzymamy poziomą nitkę jeszcze dalej, dopóki nie wyciągniemy całej nitki do góry, która wtedy dopiero zawęźla się.

Potem kładziemy wyciągniętą nitkę znowu poziomo na następnym promieniu i przytrzymując ją na lewo pierwszym palcem. Z prawego zaś boku czwartym palcem przytrzymujemy już tylko papier, bo początek nitki trzyma się mocno w węźle poprzednim.

Teraz wkładam znowu skośnie igłę spodem i zawiązuję drugi węzeł. I tak naokoło.

Wyszycie wzorków na osnowach.

Najpierw obliczyć, ile mamy parek czy nitek w teneryfce, potem wybrać wzorek, obliczyć także, ile on zawiera parek i podług tego rozliczyć ile pewnych szczegółów zmieści się na naszej osnowie. Jeżeli zostanie jedna, lub dwie parki, to jeden lub dwa szczegóły wchłania w siebie po jednej parce, a w wyszyciu, takie rzeczy nie będą raziły.

Duże guziki na środku teneryfki.

Obliczyć ilość parek na obwodzie teneryfki, a potem podzielić je ile możności na równe części. Guziki robimy, zwykle na 4 parki i kilka pierwszych razy bardzo silnie ściągamy, każdą serję osobno. Mamy więc na środku teneryfki nagromadzone i już ściągnięte nici, teraz nabieramy 4 parki na igłę od dołu od prawej ku lewej ręce, a wyciągnąwszy igłę do góry, ciągniemy nitkę prosto na prawo ku dołowi. I znów nabieramy na igłę, na prawo, drugie 4 parki od spodu od prawej ku lewej ręce, a wyciągnąwszy igłę do góry, zwracamy nić na prawo i ściągamy silnie ku dołowi. I tak szyjemy naokoło. Dla ułatwienia dobrze jest zaznaczyć sobie ołówkiem na górze teneryfki pod obwodem kreskę co cztery parki. Ażeby można szybciej orjentować się nabierając zawsze na prawo cztery parki na igłę.

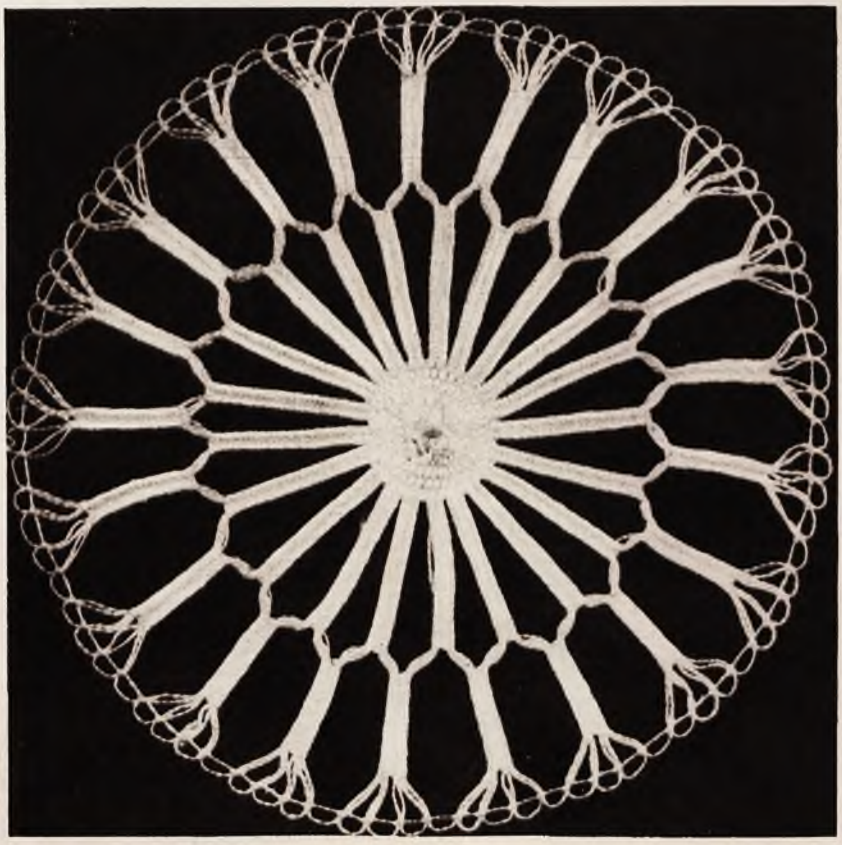


Trójkątny motyw teneryfowy z ząbkami szydełkowemi.

Guziczek środkowy możemy robić na 8 parek, ale małych, rozmiarów, a nad nim zaraz wiążemy jakiś środek ażurowy. Nad ażurem wiążemy parki czy nitki także i dopiero obliczamy parki i wybieramy wzór.

Po zrobieniu guzika nitki osnowy muszą być także powiązane tuż brzegiem guzika.

Na teneryfkach wyszywać możemy **pajączki, wachlarzyki, patyczki atłaskowe** prócz cerowania.



Kółko teneryfowe z samych „patyczków", których wykonanie podane jest w tekście artykułu.



odciąć od tekturki ten duży węzeł na środku koła, czy kwadratu, z którego to punktu zaczęliśmy snuć osnowę.

* * *

Kołnierzyki lub tacki pod kryształy albo pod szkła na stoliki robimy w ten sposób, że rysujemy formę danego przedmiotu, (a potem dopiero na tej płaszczyźnie rysujemy większe i mniejsze kółka lub kwadraciki obok siebie, ale nie zanadto blisko, by każde kółko mogło być wykłute osobno dla siebie. Potem jak zwykle wyznaczamy ściegi pomocnicze na wszystkich obwodach, robimy osnowę także w każdem kółku osobno. Jednak osnowa każdego kółka z czterech stron musi być połączona z osnową sąsiednich kółek czy kwadracików i to w dwóch a nawet w trzech punktach. Uważać tutaj należy, że łącząc osnowy dwóch kółek nie zaczepiamy o czarne ściegi pomocnicze tylko o samą osnowę. Gdy wszystkie osnowy trzymają się już razem, wtedy w każdem kółku robimy cerę środkową, następnie wyszywamy wzory i wiążemy samym brzegiem każde kółko osobno.

Jeżeliby u kołnierzyka między teneryfkami zostało trochę próżnego miejsca w takim razie wypełniamy je pajączkami lub innemi ściegami igiełkowemi zapożyczonemi z techniki dzierganej.

Kółko teneryfowe wykonane na pojedynczych nitkach osnowy.

Stylizowana margeritka z zastosowaniem „guzika" pośrodku.

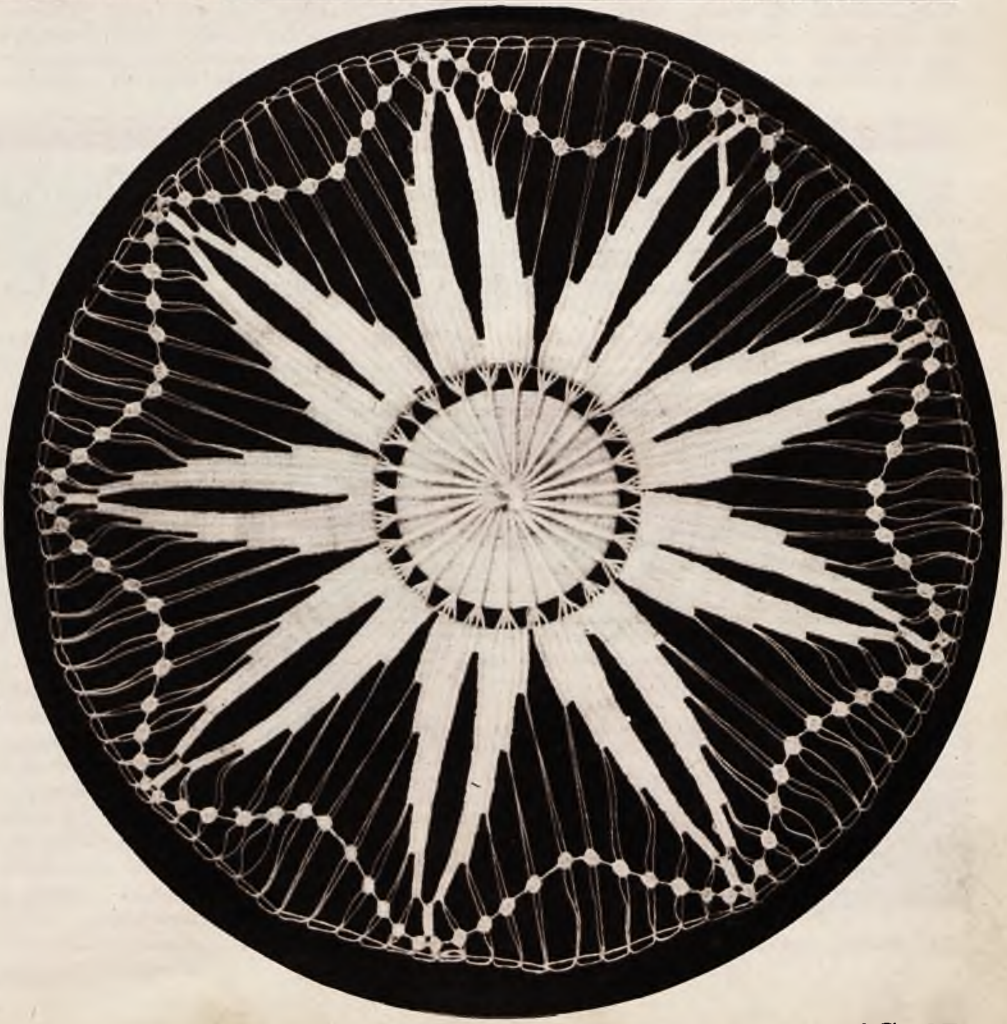
Patyczki atłaskowe robimy w ten sposób:

Nawlekamy nitkę nie bardzo długą, robimy mały węzełek, zaczepiamy o środkową cerę, ale ostrożnie, by ścieg nie przeszedł na wskróś na prawą stronę roboty. Następnie podnosimy igłą 2 parki od prawej ku lewej ręce, wyciągamy igłę i nabieramy drugie 2 parki od spodu od lewej ręki ku prawej, a igłę wyciągamy wśrodku patyczka. I tak szyjemy ciągle naprzemian nabierając na igłę od spodu po 2 parki raz od prawej ręki, a drugi raz od lewej. Igłę zawsze wyciągamy do góry, środkiem patyczka. Szyć należy dosyć ciasno, lepiej ciaśniej, jak wolniej. Co kilka rządków należy uszkiem igły zsuwać ściegi wdół. Widzimy, że patyczek ma rowek środkiem, a jego boki wyglądają, jak haft atłaskowy.

Najważniejszą rzeczą przy szyciu teneryfek jest to, by wzór dany tak zajął osnowę, by jej prawie widać nie było. Jeżeli wzór nie da się tak rozmieścić, by osnowa była, jak najmniej widziana, to w takim razie należy wyszyć na pozostającej osnowie jakąś mereżkę. Albo powiązać, nitki po kilka razem i zrobić na tych wiązaniach pajączki.

* * *

Gdy teneryfka wyszyta, wtedy przecinamy ściegi z lewej strony tektury, a koronka z prawej strony odpadnie. Pamiętać przytem należy, by pierwszy



DAWNE ZWYCZAJE WIELKANOCNE.

Do Świąt Zmartwychwstania przygotowywano się w dawnej Polsce bardzo surowo. Od Palmowej Niedzieli obowiązywał post ścisły. Od Wielkiego Czwartku naśladowano żałobę kościelną. Lustra stały zasłonięte czarną materją, instrumenty muzyczne zamykano na cztery spusty. Starsi ostro upominali młodzież, aby powściągała niewczesną pod tę porę wesołość. Po wsiach rozlegały się klekoty kołatek, które dzieci już dawno przygotowywały sobie na te dni. Wielki Piątek był dniem specjalnie uroczystym. W dniu tym nikt z dorosłych nic nie jadł. Nawet namiętni palacze chowali przybory do palenia... ale też złym humorem zadręczali otoczenie. O godzinie trzeciej popołudniu zbierali się po dworach wszyscy domownicy i pod przewodnictwem pani domu odprawiali rozmyślania o Męce Pańskiej. W miastach tłumnie odwiedzano Groby Pańskie po kościołach.

W Wielką Sobotę nastrój żałobny mijał, choć jeszcze młodzież musiała swej wesołości nakładać hamulce. Zresztą i czasu na zabawę nie było. Dziewczęta miały mnóstwo pracy w domu około święconego, porządków i strojów. Chłopcy urządzali tajemnicze zmowy i przygotowywali się do śmigusa.

Gospodynie domu, spracowane do ostateczności, z niepokojem i ulgą wyglądały zbliżającej się Wielkiej Niedzieli. Ale bo też zapracowywały się ponad miarę w ostatnim tygodniu. W domach bogatszych, nawet dłużej niż przez Wielki Tydzień trwały przygotowania świąteczne: przecież Wielkanoc to jakby konkurs sprawności gospodarczej pani domu. Odbywały się wielkie zjazdy z sąsiedzkich i rodzinnych wsi, jakoteż liczne przyjęcia po miastach. Przysmaki wielkanocne wymagały specjalnego starania i musiały być bez zarzutu. Czy zawsze się udawały?... Żadne kroniki nie notują ilości przelanych łez gospodyń i ich służby. Żadne rachunki nie wykazują, ile zmarnowanych smakołyków poszło w ogień. Karykatura Kostrzewskiego, przedstawiająca służbę kuchenną, z gospodynią na czele, w niemej i rozpaczliwej kontemplacji wobec wyjętych z pieca niezdarzonych bab, miała napewno bardzo częste zastosowanie. Niekiedy jeszcze w noc Wielkanocną, w tajemnicy przed panem domu, aby mu oszczędzić powodu do niewczesnych żartów, pieczono ostatnie ciasta. Nie było innej rady. Doskonały sposób, jak można mieć udane baby, — posyłając po nie do cukierni, — nie był wówczas w użyciu.



Półmisek z jajami i szynką, przybrany natką z pietruszki i pieczarkami.

Kunszt pieczywa domowego osiągnął w Polsce znaczne wyżyny. Opierano się oczywiście na „wypróbowanych" przepisach, które przechodziły z pokolenia na pokolenie. Starsze gospodynie były do tych przepisów fanatycznie przywiązane. Pamiętam, gdy po wojnie spotkałam się ze staruszką, której zawierucha wojenna zabrała cały majątek, pani ta najwięcej żałowała swego zeszytu, w którym miała zanotowane wszystkie możliwe przepisy kulinarne.

— Niech pani sama powie. Straciłam całą mądrość swojego życia. Kajet leżał zawsze u mnie na komodzie i zapomniałam go w ostatniej chwili zabrać...

Jeżeli życzliwa sąsiadka dała fałszywy przepis, a niedoświadczona pani domu nie umiała się w tem zorjentować, następowała nieunikniona katastrofa. Wówczas szukano przyczyny w zlekceważeniu różnych zabobonów piekarskich.

Było ich bardzo wiele. Przedewszystkiem osoba, która piecze, powinna bacznie uważać, aby leżącej na ziemi łopaty nie przestąpić, tylko za każdym razem ją obejść. Nie można piec, jeżeli (na wsi) w tym dniu lęgnie się mały drób. Przy rozczynaniu pieczywa, a zwłaszcza przy wkładaniu go do pieca, nie mógł się w pomieszczeniu kuchennem znajdować mężczyzna, chyba, ubogi, bo ten nie urzeknie, ale pod warunkiem, że dostanie kawałek z pierwszej upieczonej sztuki. Nie należy przy wyrabianiu ciasta płakać, bo nie wyrośnie, a także nie można się śmiać, zaglądać do pieca, gdyż pieczywo popęka, „wyszczerzy się".

Tradycja dawnego wspaniałego święconego „zastaw się, a postaw się", zanika.

Każdy dom przygotowuje dziś tylko tyle, ile niezbędnie na dni świąteczne potrzeba. I tak jest prawdopodobnie najsłuszniej.

M. S. S.

KONKURS NA WIELKANOCNY STÓŁ.

W drobnych rączkach naszych pań spoczywa los wielu tradycyjnych zwyczajów, które dla swego proku nie powinny być zaniedbywane, lecz przekazywane dzieciom i wnukom. Silne więzy tradycji, adoptowane do wymogów nowoczesnych form życia, stanowią przecież ważną pozycję w kulturze narodów i państw i im wyższy jej poziom, tem troskliwiej dbają wszyscy o kontynuowanie tradycji, jako wspólnego wielkiego dobra, umacniającego zręby jedności narodowej.



Stół jadalny, nakryty do wielkanocnego śniadania. W głębi na bufecie pozostałości „święconego".

Wśród wielu przepięknych i głębokich zwyczajów polskiej tradycji narodowej, jakże radosnym akordem jest Wielkanoc, rozsłoneczniona pierwszemi uśmiechami wiosny i rozdzwoniona dźwiękami dzwonów, bijących jedno wielkie „Alleluja!".

Na biel obrusów i przygotowane „święcone" padają słowa błogosławieństwa Bożego, padają krople wody święconej...

Czy w domu zamożnym, czy ubogim, jednako wtedy biją serca i jednakowa radość gromadzi rodzinę, a w dusze bodaj na chwilę wstępuje krzepiąca otucha — będzie lepiej!

Nawiązujmy nić tradycji, nie dajmy ginąć zwyczajowi „święconego".

W tej myśli organizuje Redakcja „Asa" Konkurs na Wielkanocny Stół. Uczestniczki konkursu zechcą nadesłać zaraz w pierwszym tygodniu po Wielkanocy zdjęcia, przedstawiające ich wielkanocne stoły, zastawione wedle tradycyjnych zwyczajów, przygotowanemi na święta zapasami żywności. Nadesłane nam zdjęcia będą zamieszczane w „Asie", przyczem chcąc umożliwić dokonywanie zdjęć Paniom Domu w Warszawie, Krakowie, Poznaniu i Katowicach, ustanowi Redakcja specjalne dyżury fotograficzne. — Która z Pań zawiadomi Redakcję wcześniej listownie czy telefonicznie, tam zgłosi się fotograf „Asa" dla dokonania zdjęć.

Dla uczestniczek konkursu przygotowane zostaną liczne i piękne nagrody.

Wiosna modystki



Berecik z siateczki cristallitowej z pękiem liljowych hjacyntów.



Modystka przy wykonywaniu kapelusza z cristallitu.



Efektowny duży model kapelusza z cristallitu.

Najśliczniejsze wiosenne słońce. Każdy stara się bodaj na krótko, bodaj na parę godzin, na godzinę wyjrzeć na świat Boży, nacieszyć się promieniami co grzeją i świecą, niosą radość i zdrowie.



Duży model z cristallitu przeźroczystego, matowego i siateczki.



Kapelusz z dwubarwnego cristallitu, przybranie z tegoż materjału.

Tylko mała modystka wcale nie widuje wiosennego słońca... Dla niej nie świeci ono wcale.

Idzie się do niej po stromych schodach na facjatkę. Taka mała modystka musi mieszkać na facjatce.

Izdebka jest niska, ma małe okienko. Cała pogrążona jest w mroku, blade pasemko światła pozwala pracować tylko tuż przy oknie... Widać przez nie szary dach naprzeciwko, czasem tylko szarą ścianę innego domu.

Modystka ma lat dwadzieścia kilka lub parę... Ma miłą, bladą, białą zupełnie twarzyczkę, dla której słońce jest czemś nieznanem. Głowa ją boli, bo mieszkanie jest wilgotne. Ta izdebka na facjatce? Wysoko na piętrach? Cóż z tego, że wysoko! Wilgoć wszędzie się wespnie. Jest w murach. O, Boże, jak nieraz boli głowa, jak bolą stawy...

Na etażerce przygotowane dla klijentek żurnale paryskie. Panna Genia, Jadzia lub Lodzia uśmiecha się do tych żurnali, z których patrzą na nią wąskie twarzyczki z regularnemi brwiami i usteczkami lalek.

To paryskie modele. Najpiękniejsze. Kupiła ten numer bardzo drogo, ale przecież klijentki żądają by było najmodniejsze, najwykwintniejsze...

Zresztą panna Genia, Jadzia lub Lodzia nie potrafiłaby pracować ze złego żurnalu. Ją cieszy każdy nowy, świeży pomysł, każde nowe odwinięcie rondka, każdy subtelny zarys główki wiosennej. Tak się to nazywa — główki wiosenne. I tyle tylko mała modystka wie o wiośnie. Że główki są teraz wiosenne.

Praca ciśnie się teraz drzwiami i oknami. Panna Genia, Jadzia, Lodzia ma czarodziejską rękę, ma dotknięcie małej królewny. Tak, jak ona, nikt nie umie dobrać kapelusika dla pięknej pani.

Tej wiosny stwarzają paluszki panny Geni, Jadzi, Lodzi... nowe cuda. Naprawdę takich kapeluszy jeszcze nie było. Za materjał służy szkło! Ma ponętną nazwę Cristallit, może być we wszystkich kolorach, a przy nagrzaniu da się modelować w dowolny sposób. Przeźroczystość Cristallitu jest bardzo pociągająca, bo daje nowe zupełnie dotąd niespotykane efekty.

Panna Genia, Jadzia, Lodzia... czują się naprawdę czarodziejkami z bajki...

M. Ł.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA JARZYNOWA POSTNA. Małą główkę włoskiej kapusty kraje się drobno, parzy, a dorzuciwszy kilka oczyszczonych i pokrajanych pieczarek, dusi się razem na troszce masła, następnie dodaje się dwie łyżki zielonego groszku z puszki, podprawia jasną zasmażką, rozprowadza gorącą wodą i wylewa do wazy na ryż, roztarty z żółtkiem. Z wierzchu potrząsa się zupę szczypiórkiem.

ROSÓŁ KRÓLEWSKI dosyć kosztowny, bo z różnych mięs gotowany, podaje się na wykwintne proszone obiady. Mięso musi być najlepszej jakości i bardzo świeże. Podajemy proporcje na 8—10 osób. Pół kg wołowiny (pierwszej krzyżowej), 1/4 kury, 12 dkg cielęciny, którą należy wpierw sparzyć, aby rosół nie zbielał, 10 dkg ogona wołowego i tyleż wątroby, wkłada się do garnka, zalewa dwoma litrami zimnej wody, soli i zagotowuje, następnie wkłada się sporo zrumienionych na maśle jarzyn rosołowych, 1 pieczarkę lub innego grzyba, ząbek czosnku i parę ziarn czarnego pieprzu. Wszystko gotować przez dwie godziny na wolnym ogniu, poczem odcedza się rosół do innego naczynia; klaruje białkiem, aby rosół był czysty, tj. gotuje się rosół z białkiem 15 minut, a następnie przelewa przez serwetę, ogrzewa napowrót silnie i podaje w filiżankach z jajami w koszulkach lub z krajanym w kostkę kremikiem jajecznym, na który podawaliśmy swojego czasu przepis w paru odmianach.

JAGNIĘ LUB KOŹLĘ PIECZONE. Jagnię oczyszczone szpikuje się gęsto słoninką, skrapia sokiem cytrynowym i piecze na brytwannie przy częstem polewaniu masłem, jak kurczę lub inny drób. Można też napełnić jagnię nadzianką z mielonej cielęciny, wątróbki i bułki z dodatkiem jaj i masła, jest wtedy wydatniejsze i sporsze w podziale. Należy je po pokrajaniu złożyć z powrotem i zręcznie ułożyć na półmisku, ubrać pasztecikami, zielenią i jarzynkami oraz zeskrobanym na wiórka chrzanem. Zielona sałata z jajami jako dodatek.

INDYK NADZIEWANY KASZTANAMI. Indyk, oczyszczony i silnie natarty solą, powinien kruszeć przez 5—6 dni w chłodnem miejscu. Opłókanego i wytartego do sucha indyka, nadziewa się następującą nadzianką: $\frac{1}{2}$ kg kasztanów gotuje się, naciąwszy je parę razy, aby nie pękały w gotowaniu. Ugotowane obciąga się z obu łupek i miele w młynku, a następnie fasuje przez sito. 5 dkg świeżego masła uciera się na misce z trzema żółtkami, dodaje kasztany, łyżeczkę cukru, 5 dkg parzonych krajanych w paski migdałów, szczyptę gałki muszkatułowej, łyżkę rumu, 2 łyżki śmietany i soli do smaku. Wymięszać wszystko na gładką masę, dodać pianę z 3 białek, przesypując paru łyżkami bułeczki tartej, lecz tak, aby masa nie była za twarda, raczej wolna. Tak przyrządzoną nadzianką napełnia się szyję i podgardle, aż po pierś indyka, zesuwając ręką jak najniżej, zaszywa i piecze na wolnym ogniu, polewając pilnie tłuszczem, aby skórka nie popękała i nabrała kruchości. Piecze się $2\frac{1}{2}$—3 godzin. Gdy indyk gotowy, wykłada się go na deskę, ostudza trochę, wyjmuje nitkę z zaszycia i kraje najpierw podgardle w plastry, potem rozbiera się całego indyka i układa w pierwotny kształt na półmisku. Do ciepłego indyka podaje się kompot mieszany lub sałatę jarzynową, do zimnego sos tatarski, remuladowy lub skromniej szczypiórkowy jajeczny.

SOS SZCZYPIÓRKOWY. Ugotować 4—5 jaj na twardo, żółtka wyjąć i rozetrzeć z paru łyżkami oliwy lub kwaśnej śmietany. Małą bułeczkę kruchą otrzeć z wierzchniej skórki na tarce, ośródkę zamoczyć w mleku, następnie przetrzeć przez sitko i wymięszać z żółtkami; dodać posiekane drobno białka i sporo szczypiórku, również drobno pokrajanego, parę łyżek winnego octu lub soku cytrynowego, cukru i soli do smaku. We Francji wkładają do gotowego sosu skórkę z chleba natartą czosnkiem. Po godzinie chleb się odrzuca. Sos musi być dobrze zawiesisty.

RÓŻE WIELKANOCNE. 15 dkg masła utrzeć na pianę, dodać 4 żółtka, 15 dkg cukru, łyżeczkę soli, 30 dkg mąki i rozczyn z 2 dkg drożdży i letniego mleka tyle, aby się utworzyło niezbyt wolne ciasto. Ciasto musi wyrosnąć w cieple, następnie się je cienko rozwałkowuje, smaruje masłem i posypuje grubo rodzynkami i migdałami tłuczonemi, wymieszanemi z grubym cukrem i łyżeczką cynamonu. Ciasto zwija się w długi, niezbyt gruby rulon, kraje w równe wielkości kawałki 5—6 centymetrowe. Większy rondel wylewa się masłem i ustawia kawałki ciasta przeciętą stroną w górę, przesmarowując każdy kawałek, aby je łatwo można było rozdzielić. Po wyrośnięciu piecze się ciasto w gorącym piecu godzinę. Upieczone rozdziela się na pojedyncze kawałki i posypuje suto cukrem z zapachem waniljowym lub cytrynowym.

JABŁKA Z BITĄ ŚMIETANĄ. 1 jabłko, 3 dkg cukru, $^1/_8$ litra śmietanki kremowej, $^1/_4$ laseczki wanilji. Jabłko dobrze opłókać, wydrążyć pestki, wstawić do pieca gorącego i upiec. Osobno ubić śmietankę kremową, posłodzić cukrem z dodatkiem wanilji. Jabłko wyjąć z pieca, ostudzić i przed podaniem napełnić bitą śmietaną wydrążone miejsce.

Sc. Ko.

PRZYGOTOWANIA WIELKANOCNE.



Indyk nadziewany kasztanami, przygotowany do pieczenia.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromnieiszych gospodarstwach opuszczone

Święta rzym.-kat.	Tydzień 15 **Kwiecień** Dni 30
Niedziela **5** Wincentego	Rosół z lanem ciastem. Sztuka mięsa z sosem szczypiórkowym. Kura z rosołu z kompotem. Krem kawowy z biszkoptem. Kolacja: Zimny rozbef z sosem tatarskim.
Poniedziałek **6** Celestyna pap.	Zupa z jarzyn purée. Marchewka duszona z grzankami z bułki. Nerkowa pieczeń z ziemniaczkami i sałatą. Naleśniki z serem. Kolacja: Kasza tatarczana z kefirem.
Wtorek **7** Hermana	Pomidorówka czysta z kluseczkami. Rizotto z groszkiem. Kotlety siekane z tarkonią. Kompot mieszany. Kolacja: Makaron z parmezanem.
Środa **8** Dionizego b.	Barszcz z fasolką. Kotlety ziemniaczane z grzybowym sosem. Szpinak z sadzonemi jajami. Kremówki. Kolacja: Śledzie marynowane.
Czwartek **9** Wieczerza Pań.	Zupa grzybowa z płatkami. Fasolka na kwaśno; opiekanki ziemniaczane. Pierożki z serem. Kolacja: Kaszka krakowska na grzybach.
Piątek **10** Wielki Piątek	Zupa jarzynowa postna z ryżem. Kotlety śledziowe z pieczonemi bez łup ziemniaczkami i sałatą z kwaśnej kapusty. Kompot z suszonych śliw. Kolacja: Wędzone ryby z chlebem.
Sobota **11** Wielka Sobota	Zupa rybna z grzankami. Krokietki ryżowe z pomidorowym sosem. Makaron z makiem. Przyjęcie po Rezurekcji z przygotowanych na stół wielkanocny potraw

AS Kupon konkursu na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki
Nr. 14 z dnia 5 kwietnia 1936 r.

HOCKI-KLOCKI

RECEPTA NA POKÓJ



„Misce fiat pulvis“.

Rozwiązania z N-ru 13-go.

ZAGADKA LITEROWA.

Układu J. Piękniewskiego — Łódź.



P	E	G	A	Z
B	U	Ł	A	T
G	R	O	Z	A
K	A	D	E	T
B	A	N	J	O
T	R	E	F	L
S	A	M	U	M
K	R	U	Ż	A
M	A	C	K	I
M	A	H	O	Ń
K	U	L	I	G
P	L	E	W	Y
N	A	B	A	B
B	A	N	A	N
K	R	A	T	A
P	O	M	Ó	R
S	T	Y	P	A
K	O	Ś	C	I
G	O	L	O	K
P	L	I	S	Y

Środkowe litery słów czytane pionowo dają zdanie: „Głodnemu chleb na myśli“.

1. LIST OD BASI.

Tomki	Jurki	Janki	Wacki	
1	2	3	9	I
1	2	4	8	II
1	2	5	7	III
1	3	4	7	IV
1	3	5	6	V
2	3	4	6	VI

Ponieważ Basia jest o 3 lata starsza od Wacka Gołębia i rówieśnica jednego z Kaczorów, więc Basia musi mieć 9, a Kaczorowie I serję lat. Jurek Kaczor ma 2 lata (i tyleż Tomek Kozioł), a więc Kozłom należy przyporządkować VI serję lat. Wacek Gęś ma tyle lat co jeden z Indyków, oczywiście Wacek Indyk, toteż Indyki i Gęsi mają III i IV serję. Janek Kogut (4 lata) nie należy do IV ani VI serji, a więc Koguty mają II serję, Gołębie — V i Janek Gołąb ma 5 lat.

2. DWIE MONETY.

Najściślejsza różnica między pięciozłotówką a pięciogroszówką wynosi oczywiście zł. 4.95.

3. ZŁOTE I GROSZE.

Wchodząc do sklepu, musiał mieć 99 złotych 98 groszy.

4. KWADRAT MAGICZNY.

Jeśli zamiast 2 i 15 użyje się powtórnie 7 i 10, to można ułożyć poniższy kwadrat.

1	10	9	14
13	10	5	6
8	3	16	7
12	11	4	7

5. WIELKA ARMJA.

Brygady musiały się składać kolejno z 5670, 6615, 3240, 2730 i 2772 ludzi.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

WALKI W CYRKU.

Pewien atleta zawodowy dostawał od swego menagera za każdą walkę 200 zł., za każde zaś wygrane lub zremisowane spotkanie jeszcze dodatkowo 300 zł. gratyfikacji. Po skończonym turnieju, w którym ów atleta więcej gier zremisował lub wygrał, niż przegrał, okazało się, że zarobił w sumie 5500 zł. Ile razy walczył?

TRZECH ROBOTNIKÓW.

Ogrodnik potrzebował chłopca do pomocy i rozmawiając z ojcem trzech kandydatów dowiedział się, że daną robotę Antek i Bolek mogą zrobić w osiem dni, Antek i Czesiek w dziewięć, a Bolek i Czesiek w dziesięć. Widać z tego oczywiście, że Antek musiał być najpracowitszy, Czesiek zaś najgorszy robotnik.

Ciekawe byłoby obliczenie, jak długo każdy z nich pracowałby pojedyńczo przy tej samej robocie? (Wyniki w ułamkach dni).

AUTO I OPONY.

Redaktor naszego pisma jest właścicielem pięknego auta, które można zawsze zobaczyć przed Pałacem Prasy. Otóż czas posiadania przez niego auta jest dziś dwa razy dłuższy od czasu posiadania opon wówczas, gdy auto miał tak długo, ile ma dziś obecne opony; gdy zaś nasz redaktor będzie miał opony tak długo, jak długo dzisiaj ma auto, to wspólny czas posiadania auta i opon będzie wynosił $2^1/_4$ lat. Kiedy redaktor kupił auto a kiedy opony?

KWADRATOWA RODZINA.

Pewien jegomość miał dziewięcioro dzieci, urodzonych w jednakowych odstępach czasu, a suma kwadratów ich lat równała się kwadratowi jego własnych lat. W jakim wieku byli ojciec i dzieci? Odpowiedź jest w pełnych ilościach lat, bez miesięcy.

SPRZEDAŻ DROBIU.

Trzy kurczaki i kaczkę sprzedano za tyle samo złotych, co dwie gęsi; jednego kurczaka, dwie kaczki i trzy gęsi sprzedano razem za 25 złotych. Ile kosztowała osobno gęś, ile kaczka i ile kurczę? (w całkowitych liczbach złotych).

HUMOR ZAGRANICZNY

STRASZNA SYTUACJA



Kat pierwszy: — Już trzy dni go męczysz i jeszcze się nie przyznał?

Kat drugi: — Nie wiem, bo on nie mówi po francusku... **(Ric et Rac).**

DZIWNE WYMAGANIA PODCZAS OSTATNICH POWODZI



Gospodyni do lokatora: — Sąsiedzi pańscy skarżą się, że pan się kąpie po godzinie dziesiątej wieczór!

(Ric et Rac).

To warto poznać...



Na scenie

Teatr Wielki we Lwowie wystąpił znowu z wielką premjerą, która zdobyła sobie nadspodziewanie sukces artystyczny i popularyzatorski. Wystawiono poemat dramatyczny **Juljusza Słowackiego „Ksiądz Marek"**, poemat bardzo trudny do scenicznych interpretacyj, gdyż ta wizja poetycka pochodzi z czasów mistycyzmu Słowackiego, posiada swoisty, odrębny charakter arealny. Niesamowity poemat Słowackiego, pełen fantastycznych wizyj i koszmarnych obrazów, pisany barokowym, oszałamiającym swą płynnością wierszem w inscenizacji lwowskiego teatru nabrał wyrazistości, siły i bezpośredniej ciągłości akcji. Reżyserja, plastyka i ilustracja muzyczna „Księdza Marka" są doskonałe, chwilami wprost monumentalne. Zasługa to przedewszystkiem Andrzeja Pronaszki, który dał świetne ramy plastyczne poematowi Słowackiego, oraz reżyserji Wiercińskiego, który wydobył z tekstu olbrzymią ilość walorów scenicznych poematu. Poziom artystyczny gry aktorskiej nie jest równy, trudno jednak znaleźć na jednej scenie doskonałych wykonawców dla wszystkich ról. Przedewszystkiem sukces w roli Judyty odniosła Życzkowska, grająca z umiarem i prostotą. Stylowym i pełnym rozmachu Kossakowskim jest Krasnowiecki, a Księdza Marka interpretuje Strachocki, który tę rolę, jak stwierdzają krytycy, może zaliczać do swych najlepszych. Doskonałym rabinem jest Berski.

W Warszawie Teatr Ateneum wystawił sztukę Somina **„Zamach"**, sztukę dwuosobową, aż przerażającą nagromadzeniem niezliczonych efektów dramatycznych i koszmarnych. Sztuki dwuosobowe, niezwykle trudne do grania, mają jednak duże powodzenie, a „Zamach" daje obecnie pole do popisu dwojgu znakomitych artystów Eichlerówny i Jaraczowi. Oboje stwarzają fenomenalne kreacje aktorskie. Sztukę świetnie wyreżyserowała Perzanowska.

„Cyrulik Warszawski" wystąpił z wiosennym programem **„Ogród rozkoszy"**. Cały program jest jakby satyrą na publiczność, która ukazana jest na scence w wielu karykaturalnych obrazkach i piosenkach. Tekst wyszedł z pod pióra Hemara i Słonimskiego, piosenki napisał Szlechter, a cały zespół z siostrami Burskiemi, Żelichowską, Kalinówną, Zimińską, Terne, Jarossym i Olszą na czele, bawi doskonale publiczność, która tęskni jednak do ostrzejszej satyry politycznej.

Przy Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej w Warszawie powstał Teatr eksperymentalny pod nazwą **„Warsztat Teatralny"**, który pokazał piękny utwór Jasienica **„Pugaczow"** w reżyserji utalentowanej Błońskiej, a w inscenizacji Roszkowskiej. Zespół „Warsztatu Teatralnego" składa się zarówno z wybitnych, jak i młodych artystów, kształcących się tu w inscenizacjach i reżyserji na żywym i giętkim materjale. Razi tylko w projektowanym repertuarze brak nazwisk polskich autorów.

(swb).

NOWE KSIĄŻKI.

Dużą popularnością i poczytnością cieszą się obecnie książki poświęcone wojnie, pamiętniki i raptularze z wielkiej wojny światowej. Dopiero dziś możemy zwolna zdobywać się na obraz ostatnich zmagań wojennych. A może książki te są dlatego popularniejsze, że nowe chmury wojenne gromadzą się na horyzoncie?

Mało znaną, a jednak bardzo cenną pozycję dokumentarną walk legjonowych, jest książka **Władysława Orkana „Drogą Czwartaków"**, która obecnie, wraz z kilkoma drobnemi wspomnieniami wojennemi, ukazała się w zbiorowem wydaniu dzieł autora „Drzewiej", w opracowaniu Stanisława **Pigonia**, a nakładem firmy **Gebethner i Wolff**. W chwili wybuchu wielkiej wojny światowej Orkan stanął u boku Włodzimierza Tetmajera, który prowadził na Podhalu werbunek do Legjonów. W r. 1915 znalazł się Orkan, w randze chorążego, w sztabie 4-go pułku Legjonów Polskich i wraz z nim odbył „drogę Czwartaków" — od Ostrowa na Litwę" Brał udział w bitwie pod Jastkowem, pod Jowództwem pułk. Roi, a w gronie „Czwartaków" miał kolegów po piórze, pisarzy podhalańskich kpt Galicę i chorążego Gwiżdża.

Pod bezpośredniem wrażeniem wojny wydał Orkan, obok tomiku poezyj, wspomniany właśnie pamiętnik „Drogą Czwartaków", w którym znajdziemy głębokie spostrzeżenia pisarza o zjawisku wojny, na które jego wrażliwa psychicznie natura reagowała z silną zgrozą i przerażeniem. W wojnie widział przedewszystkiem zniszczenie, nędzę i śmierć. Głębiej i pełniej ujmuje Orkan sens życia aniżeli sens śmierci na wojnie. W pamiętniku Orkan przedewszystkiem głęboko i plastycznie maluje tragedje wojny, z niezwykłą wprost ekspresją artystyczną. Między opisami pełnemi bólu i tragizmu, nie brak też i lirycznych obrazów, poświęconych ukojnemu działaniu przyrody, którą kochał nad wszystko. Przywiązanie chłopa polskiego do ziemi ojczystej i tu silnie odmalował. Jak zwykle w szeregach żołnierzy nie brak i epizodów pełnych humoru, czego nie zapomniał Orkan upamiętnić i w swoich wspomnieniach. Ten pamiętnik Orkana stanowi ciekawą lekturę i trwałą pozycję w pamiętnikarstwie wojennem.

Jako czterdziesty tomik popularnej i cennej „Bibljoteki Młodzieży: Polska i świat współczesny" (wyd. Gebethnera i Wolffa), ukazały się **„Meldunki u Komendanta" F. Sławoja-Składkowskiego.** Jest to zbiór kilkunastu najciekawszych i najprzystępniejszych dla młodzieży wspomnień gen. Składkowskiego, wyjętych z tak ciekawej i głośnej książki „Strzępy meldunków". Książeczka ta da, zarówno młodzieży, jak i szeregom żołnierzy, barwny, doskonały portret psychologiczny wielkiego Wodza Narodu.

(swb.)

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela 5 IV.

9.45: „100 lat pracy Collegium Marianum" w Pelplinie — report.
10.00: Transmisja nabożeństwa z Katedry w Pelplinie.
12.15: Poranek muzyczny z Łodzi. W przerwie około godz. 13.00: Teatr Wyobraźni, fragment słuchowiskowy z dramatu Krzysztofa Marlowe'a p. t. „Tragiczne dzieje doktora Fausta" w przekładzie Jana Kasprowicza, w oprac. Z. Falkowskiego.
14.20: „Dziś gramy tylko serenady".
17.00: „Podwieczorek przy mikrofonie".
19.15: Audycja muzyki pasyjnej z kośc. ewang.-augsburgs. w Warszawie.
20.00: Koncert solistów.
21.00: Na wesołej lwowskiej fali.
21.30: „Wrażenia z Jerozolimy"— felieton.
22.00: Koncert Orkiestry Marynarki Wojennej.
22.45: Muzyka salonowa.

Poniedziałek, 6 IV.

12.25: Koncert Orkiestry Kameralnej Adama Hermana.
15.30: Muzyka lekka.
16.15: Chór „Lutnia-Macierz".
16.30: Teatr Wyobraźni: fragment słuchowiskowy „Biały Mnich".
17.50: „Paryż" — film radjowy.
18.30: „Już wiosna" — audycja dla dzieci.
20.30: Trio salonowe P. R.
21.15: „Na wysokiej połoninie" — aud. literacko-muzyczna.
22.00: Koncert symfoniczny w wyk. Ork. Symfon. P. R.
23.05: Muzyka salonowa.

Wtorek, 7 IV.

12.15: Audycja dla szkół (dla dzieci mł. „Śpiewajmy piosenki").
12.35: Koncert Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
15.30: Trio salonowe z Poznania.
16.15: Krótki koncert francuskiej muzyki symfonicznej.
17.15: Koncert muzyki lekkiej — wyk. Małej Orkiestry P. R.
18.30: „O twórczości poetyckiej ks. Biskupa Bandurskiego".
20.00: „Holender-Tułacz" — opera w 3 aktach Ryszarda Wagnera z Teatru W.

Środa, 8 IV.

12.30: Koncert z udziałem solist.
15.30: Zespół Niny Mańskiej.
16.00: „Wędrówka naokoło globu" „Nad rzeką, która żywi ludzi" — audycja dla dzieci starszych.
16.20: Znakomite soprany.
17.00: „Dyskutujmy" — „Cnoty i cnotki".
17.20: Koncert kameralny, trans. z sali Warsz. Konserwatorjum.
21.00: XXXI audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina".
21.40: „Rozmowa z Bogiem".
22.05: Koncert w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.
23.05: Muzyka salonowa.

Czwartek, 9 IV.

12.15: Muzyka.
15.30: Sekstet Jadwigi Klechniowskiej.
16.00: Audycja dla dzieci starsz. p. t. „Wiosna w puszczy i na wielkich wodach".
16.15: Koncert religijny z Konserwatorjum Warszawskiego.
16.45: Utwory na wiolonczelę z towarz. fortepianu w wyk. Zofji Adamskiej i prof. L. Ursteina.
17.00: „Mieszczaństwo polskie w dziejach i życiu narodów" „Rola mieszczaństwa lwowskiego w dziejach Polski".
18.00: Fragmenty z III aktu misterjum muzycznego „Parsifal".
18.40: „Jak spędzić święta?"
20.00: Teatr Wyobraźni: premjera słuchowiska pt. „Piotr Skarga".
22.15: Koncert symfoniczny wyk. Ork. P. R. pod dyr. F. Rybickiego.

Piątek, 10 IV.

12.15: Koncert solistów.
15.30: Recital organowy Feliksa Nowowiejskiego.
16.00: Pogadanka dla chorych.
16.15: Koncert Ork. Tadeusza Seredyńskiego.
16.50: „Cud na pustyni" — obrazek słuch. dla dzieci starszych.
17.30: Audycja pasyjna ze Lwowa
20.00: „Misterjum o Męce Pańskiej".
20.20: Koncert muzyki symf.
21.00: Józef Haydn: Siedm Słów Chrystusa na Krzyżu".
22.30: Muzyka poważna.

Sobota, 11 kwietnia.

12.15: Muzyka.
14.30: Muzyka salonowa w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.
15.30: Teatr Wyobraźni: „Opowieść wielkanocna dzwonów toruńskich" — słuch.
16.00: „Medytacje biskupa Ademara" — fragm. z III tomu powieści Zofji Kossak p. t. „Krzyżowcy".
16.15: Utwory religijne w wykonaniu Chóru Katedry Poznańskiej.
17.00: „O słynnym żeglarzu Mierosławskim" — odczyt.
17.15: Nowości z płyt.
18.00: Nabożeństwo Rezurekcyjne z Katedry na Wawelu.
19.00: Rezurekcja — suita muzyczno-poetycka.
19.30: Muzyka salonowa.
20.15: Jerzy Fryderyk Haendel: Psalm na chóry, solistów i organy.
20.45: Rozmowa dzwonów wielkanocnych — aud. Wandy Achremowiczowej.
21.30: Recital fortepianowy Aleksandra Brachockiego.
22.00: Koncert symfoniczny w wykonaniu orkiestry P. R.
23.00: Muzyka rozrywkowa.

Odpowiedzi Redakcji

ST. Z. i E. H. — ŁÓDŹ. Przesłane nam zdjęcie zostało przez nas zamieszczone w nrze 7 z 16 lutego br. Prosimy, by ewentualne dalsze zdjęcia były skopjowane na błyszczącym papierze.

„AŻEWICZ". Pierwsza lista nagrodzonych w konkursie Kalendarza I. K. C. została zamieszczona w „Ilustrowanym Kuryerze Codziennym" z dnia 2 b. m. Dołączenie kuponów do nadsyłanych nam materjałów na „konkurs najnieprawdopodobniejszego głupstwa" jest zbyteczne, ponieważ te kupony przeznaczone są wyłącznie dla głosujących, a nie dla zgłaszających się.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.